



ARCHIWUM
LEGIONÓW
i N. K. N.

Nr 1441

NY
TACH



NAPISAŁ

DR. BERTOLD MEYER
OFICER LEGIONÓW POLSKICH



1441

KOBOS TADEUSZ

leg. 749.

L. _____ / 70

LEGIONY W KARPATACH

≡ 1914 ≡

NAPISAŁ

DR. BERTOLD MERWIN

OFICER LEGIONÓW POLSKICH.

CZYSTY DOCHÓD NA FUNDUSZ WDÓW
I SIEROT PO LEGIONISTACH.



1915

NAKŁADEM NACZELNEGO KOMITETU NARODOWEGO.

SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI H. GOLDSCHMIED WIEDEŃ I. WOLLZEILE 11.

DRUKIEM ADOLFA HOLZHAUSENA WE WIEDNIU.

KAPITANOWI

WŁODZIMIERZOWI ZAGÓRSKIEMU

SZEFOWI SZTABU LEGIONÓW

KTÓREGO CENNE WSKAZÓWKI Z SZCZERA
WDZIĘCZNOŚCIĄ WSPOMINAM, PRACĘ TĘ POŚWIECAM.

WSTĘP.

Fragmenty i fotografie, które tu w formie książkowej się pojawiają, powstały w polu.

By uniknąć nieporozumień, muszę lekturę tych szkiców poprzedzić kilku słowy.

Skończy się wojna światowa. Wtedy popracuje i strategik i historyk, i ekonomista i polityk — i na podstawie bogatego materiału, rozlicznych aktów, planów, pamiętników, raportów itd. spiszą wewnętrzne i zewnętrzne dzieje Legionów.

Moja książeczka nie rości sobie pretensyi ani do miana pracy strategicznej ani historycznej. Ni teraz czas po temu, ni okazyja, ni skromne me zdolności i wiedza na to starczą.

Cel tych szkiców był inny.

Spisywałem wrażenia moje tych przejść Legionów na terenie karpackim, których byłem świadkiem. Charakter mej służby oficerskiej w Legionach sprawiał, iż miałem dostęp do licznych źródeł, dość wielką swobodę ruchów i mogłem

obserwować zarówno środowisko, wśród którego Legiony walczą, jakoteż i nastrój, z jakim walczą.

To, i nie więcej, stanowi treść mych fragmentów. Nie moją rzeczą jest osądzać, czy trafnie obserwowałem.



I.

Maramaros.

Pociąg mknie wzdłuż doliny Cisy. Nareszcie! Nareszcie . . . Od czterech dni, czterech nocy żółwim krokiem wlecemy się wzdłuż południowych stoków Karpat. Jesteśmy już zdenerwowani monotonią podróży. Co kilka godzin postój — tor zabity, zatarasowany — co kilka godzin trąbka: zbiórka! Ujedziemy kilka godzin i znowu: tor zabity, zatarasowany . . . Teraz już ostatnie etapy jazdy. Jakby sobie chciał powetować czterodniową mitręgę — pociąg mknie coraz szybciej . . .

Wjeżdżamy w kraj rozbujanych nerwów, przestraszonych twarzy, pospakowanych wzdłuż stacy i dróg tobołów, uciekających, bezdomnych rodzin. Kozacy na Węgrzech! Przeszli przez przesmyki karpackie! Przelewają się w dolinę! Stugębna fama dolatuje do naszych pociągów. Nasi chłopcy kraśnią ze szczęścia, z wewnętrznej gorączki czynu. Zapomniana jest mordęga kilkudniowej podróży! Zapomniane te słodkie wspomnienia domu, matki, lubej, które snuły się przez te dni wojażu po skapo

oświetlonych wagonach i taką mgłą melancholii otulały młodego wojaka... Kozacy w pobliżu! Ziszcza się oto wkrótce marzenie, spełnia się sen o wojence!...

Jeszcze mamy do przebycia krótką drogę. Kilka godzin zaledwo. W wagonach wre. Ostatnie przygotowania. Pewnego rodzaju zwarcie, zgarnięcie, stężenie rozleniwiałego podróża ciała. I namiętne, głośnie, szumiące śpiewy: Hej, kto Polak!...

Wzdłuż toru huczy Cisa. Wjeżdżamy w okolicę coraz romantyczniejszą. Dalekie perspektywy puszczy znikają z oczu. Kędy spojrzeć — góry. A w nich rozbudzona wyobraźnia widzi — wroga.

Świt. Mgłą powleczone góry, rosa opalizuje po łąkach. Zimno, przejmujące zimno. Pociąg staje przed małą górską stacyjką. Wszystkie tory szczelnie nabite wagonami. Na jednym torze stoi dłużący się chyba w nieskończoność rząd wagonów towarowych. Każdy wagon, to dom mieszkalny kilku rodzin. To ewakuowani z Maramaros-Szigetu i innych miasteczek doliny Izy i Cisy. Stoją biedne kobiety z dziećmi na rękach, stoją na otwartych łorach starcy, okutani w płachty. Chodząca nędza...

Na stacyjce gorączkowa praca. Aparat telefoniczny naczelnika stacyi w ciągłym obłęzieniu. Nieustannie nadechodzą i odchodzą rozkazy. Dyspozycje dotyczą dyslokacji, prowiantury, dowozu



Komendant Legionów ekscelencya Durski.

amunicyi. Dokoła stoją wykonawcy rozkazów. W przeciagu pół godziny szef sztabu wtajemniczył każdego w to, co powinien wiedzieć — wykonać. Na wsze strony rozbiegają się oficerowie ordynansowi, panowie z intendantury, kurjerzy, kwatermistrze itd.

Przed stacyą tymczasem posila się kompania sztabowa. Na trójnogu olbrzymi kocioł, a w nim herbata. Kłęby pary otulają każdego, kto się do kotła przybliża. Ach, jak to dobrze ogrzać ręce blaszaną manierką, pełną ocukrzonego, gorącego napoju, wypić pół litra herbaty, zagryzając chlebem!

A potem wszystko, co nie jedzie na pole bitwy, do miasteczka, na kwaterę.

Pół kompanii piechoty i mały oddziałek kawalerji zostaje w pociągu. Dla ochrony sztabu, wybierającego się naprzód. Dopóki będzie można... Jak daleko kolej zawiezie... Nastrój poważny. Jedziemy wśród tego zimnego poranku w pobliże wroga. Przypatrzyć się przygotowaniom do walki, skontrolować dyspozycje. Nie wiemy, co nas spotka, jedziemy poza linię, do której kolej dowozi ludzi i towar. Po drodze pilne, uważne badanie okolicy. Wiemy, że włączące się, grabiące, odłączone od całości bandy kozackie znajdują się w okolicy, są pochowane w okolicznych lasach, czynią wysiłki

by tor niszczyć, znieprawiają dusze chłopstwa ruskiego, kuszą do zrad i zamachów.

Przez trzy godziny trwa ta podróż. Dalej nie można. Tłumaczy nam to oficer patroli, którą na pewnem miejscu, na szczyrem polu, spotykamy. — Dalej pociąg nie pójdzie . . . Wkrótce z pobliskiego gościńca słyszymy charakterystyczne turkoty zbliżających się autombili. To dowódca operującej tu dywizyi pospolitego ruszenia ze swym sztabem. Tuż obok toru odbywa się konferencya obu generałów i obu szefów sztabu. Każdy ma szereg kart generalnych w ręku. Omówienie akcyi w najdrobniejszym szczególe, krótki uścisk dłoni i — wracamy do głównej kwatery.

Tego samego dnia już brali nasi chłopcy chrzest ognia. Z podziwienia godną gotowością, brawurą, walecznością. Mielśmy tam na Węgrzech przez niejaki czas się ćwiczyć, kompletować wyekwipowanie i uzbrojenie, uprawiać się do życia obozowego zdala od podszeptów czy to lokalnopolitycznych, czy czułościowości rodzinnych. Tak było uplanowane. Tymczasem stało się inaczej. Nasza natychmiastowa akcyja okazała się konieczną. Bezpośrednio po wywagowaniu.

Na najtrudniejsze pozycye szli legioniści — i dawali sobie radę. Nie znali wcale terenu; mieli jeno dowódcy oddziałów karty w ręku, języka za-



Szef sztabu Legionów kapitan Zagórski.

sięgnąć trudno było, gdyż po ucieczce niemal całej węgierskiej ludności zostało chłopstwo ruskie . . . A jednak nasze oddziały dochodziły o wyznaczonym czasie na miejsce, na którem miały działać.

Szli nasi ludzie z podziwu godną brawurą i niemniej zadziwiającą — ostrożnością. Ani się podejsz nie dawali, ani wciągnąć w zasadzki. Szli po mocno skomplikowanym terenie górskim, wśród bardzo trudnych — początkowo — warunków aprowizacyjnych (bo przecież to nagłe użycie Legionu w walkach, mających oczyścić Węgry od najazdu rosyjskiego, było niespodzianką) a jednak spisywali się chwacko.

Byli przykładem i wzorem. Ludność w tych stronach nabrała otuchy, widząc młodzież, pędzącą przed siebie kozaków. Zmiana nastroju na północnych Węgrzech, przejście z paniki i rezygnacji do pewności lepszego jutra — było dziełem akcyi Legionów. A przecież znaczenia i wpływu tego psychicznego czynnika, jakim jest zachęta i siewstwo odwagi, zapoznawać nie wolno.

Brawurowym marszom, zwycięskim potyczkom, energii i wytrzymałości, jaką okazali nasi chłopcy — zawdzięczają Węgry, że Legiony wraz z oddziałami pospolitego ruszenia wspólnie wypędziły wroga z kraju. — Stało się to w stosunkowo bardzo krótkim czasie. Wysłwobodzenie tak wielkiego szmatu kraju, jak połać od Krastfalu po

Visovölgy, licząca przeszło 80 km długości — było dziełem nawet nie jednego tygodnia. Było to konsekwentne wypieranie wroga z zajmowanych przezeń pozycji przez nastawianie mu wprost na pięty, przez zagrażanie mu okrążeniem i odcięciem, przez strategicznie racjonalne rozmieszczanie naszych oddziałów, przez planowe, celowe marsze bojowe.

Oczywista, tak intensywne wypieranie nieprzyjaciela i to nie w walnych bitwach, lecz przez zmuszanie go do odwrotu i ucieczki, wymagało wielkich trudów fizycznych. W bitwie pozycyjnej żołnierz okopie się i niejednokrotnie dniami przebywa na jednym terenie. Tu było inaczej. Wieczny ruch, wieczny marsz, niejednokrotnie o głodzie, a zawsze niemal o chłódzie, z góry na górę, przez złomy skalne i przełęcz, wśród mgieł i nawałnic śniegowych.

Trud więc był wielki. I tak np. jeden z naszych batalionów w przeciągu kilku dni przebył takie marsze, wciąż po drodze napotykając i niszcząc porozrzucane po górach, odbiegłe od głównej armii, małe oddziały kozackie. Pierwszego dnia, wysiadłszy z wagonów w Taraczköz, szedł marszem bojowym do Akna Slatina. Dwie godziny snu. Wymarsz do Közepapsa. Drugi dzień: patrol wywiadowczy do Fölsőabsa i jedna kompania detaszowana na jednym z triangulów do pasma La Czuhe. Z Fölsőabsa marsz bojowy w kierunku

stacyi kolejowej Bocsko, następnie do Maramaros-Sziget. Tu gół godziny odpoczynku. Odmarsz do Baresafalo. Trzy godziny noclegu. Trzeci dzień: marsz bojowy przez śniegiem pokryte góry, wśród nawałnic, przez Petrovę, w kierunku Visovölgy, przez pasmo Menczul. Nocleg w lesie . . . Są to marsze, które w zwykłych warunkach przebyte w potrójnym czasie zasługiwałyby na pochwałę . . .

Cóż dziwnego, że wobec takiej ruchliwości, takiej aktywności naszych żołnierzy — kozacy uciekali w panicznym popłochu? Równie szybko, jak się pojawili na Węgrzech, zostali także wyparci. Pierwsi, którzy weszli do Maramaros-Sziget — byli legionieści; pierwsi, którzy zdobywali stacje kolejowe na linii od Maramaros ku granicy galicyjskiej, stację Bocsko, Visovölgy itd. — byli legionieści. A co raz było wzięte — to żelazną pięścią trzymano. O zabranie Rosyanie ani się nie kusili. Z uznaniem patrzyli oficerowie stacyonowanych w północnych Węgrzech pułków na młodź naszą, pędzącą uciekających w panicznym popłochu przez Karpaty kozaków.

W przeciągu jednego tygodnia właściwa akcja militarna, t. j. zdobycie Maramaros-Sziget, obsadzenie z powrotem kolei żelaznej i drogi kołowej, wiodącej przez Körözmezö do Galicyi, wyparcie Moskali przez Karpaty — była ukończona.

Teraz przyszła kolej na oczyszczenie północnych Węgier z rozprószonego, głodującego, chowającego się po jarach i lasach, nocą grabiącego kozactwa. Chwilami miało się wrażenie, że to nie wojna nowoczesna, operująca masami, lecz nawrót do dawnych, dobrych czasów, gdy jednostka wykazywała swą sprawność i siłę indywidualną, walczyła samopas, sama sobie będąc wodzem i wykonawcą. Nasze kompanie rozgromały kozactwo, kryjące się częstokroć i znajdujące przytułek wśród moskalofilskiego chłopstwa ruskiego, nasi chłopcy wyłapywali i niszczyli oddziały kirgiskie, których sytuacja stawała się isticie tragiczną. Wszystkie główne drogi i przejścia karpackie obstawione legionistami — głód coraz większy — więc też wśród kozactwa szerzyła się albo rezygnacja wielka i zmuszała do poddawania się, lub rozpacz i wściekłość i zmuszała takich desperatów do rzucania się na oślep w wir rozpaczliwych zmagañ się.

Pewnego wieczoru prowadzą do komendy ośmiu schwytanych Rosyan. Obszarpańcy, zbiedzeni, wygłodniali. Broń dawno już postradali, mundury widać przehandlowali za chleb u chłopstwa, dygotają z zimna i strachu... Wdaję się z nimi w rozmowę. Schlebiają. Chwalą. Dobryś, myślę. Chcesz się wkupić w łaskę. A przytem ten wzrok zalekniony, pytający: powiesz, czy nie, ta rozi



Grupa oficerów.

szerzona żrenica, ten poorany, wychudły policzek... Staram się z nich wykrzesać iskierkę ducha, który przecież płonąć musi w duszy żołnierskiej. Napróżno. Zupełni ciemni, nieuświadomieni. Kazano — poszli. Bili, zabijali. Tak nakazywał popęd samozachowawczy, naturalne dostosowanie się do środowiska. Ale pozatem: ciemni. Przejęcia się dla sprawy, poczucia jakiejś misji, czyto narodowej, czy kulturalnej — ani śladu. Pod progiem ich świadomości nie się nie przebija. A w świadomości samej tylko jedno: popęd samozachowawczy, ślepy instynkt.

Mówiłem z nimi długo i jedno tylko miałem wrażenie: biedne ofiary, pędzone cudzą wolą, bez krzty uświadomienia, bez poczucia celu tej wojny, bez zdania sobie sprawy z perspektyw na przyszłość. Daliśmy im w końcu jeść... Byli wtedy szczęśliwi.

I oto antyteza: każdy z naszych dzielnych legionistów wie, o co i po co walczy, idzie dla sprawy, wnosi swą rozgorzałą miłością dla sprawy duszę w bój. Takim też zapałem przejęta i cała armia — a nikt, kto opancerzył się mocniejszym, niż stal pancerzem: miłością dla sprawy, gotowością poświęcenia się dla niej — nie przegrał!



II.

Węgry podczas pierwszej inwazyi kozackiej.

Gdyśmy przybyli do północnych Węgier, zamieszanie i panika dochodziły punktu kulminacyjnego. Gdyśmy przechodzili przesmyki, wiodące do Galicyi, życie publiczne i prywatne przyjmować poczynało normalną fizyognomię, urzędy instalowały się na nowo, rodziny wracały do swych pieleszy.

Puste miasteczko. Zasnęło, zmartwiało. Sklepy i kramy pozamykane, w ogródkach koło domków wędzną jesienne kwiaty. Domy i urządzenie na łasce bożej. W willi bogatego kupca stół nakryty do obiadu... Lada chwila wejdzie kucharka z dymiącą wazą rosołu. Dom pusty. Tuż przed obiadem uciekli mieszkańcy.

Rynek, punkt centralny miasteczka, opustoszały. Kilka furmanek spoczywa na nim od kilku dni. Konie wyprężone, zabrane. W szynkowni nieład do opisanego. Na podłodze beczki śli-

wowicy — puste. Lada rozbita. Tu krzepili się kozacy, zanieczyściwszy na odchodnem we wstrętny sposób oberżę. Tylko gdzieniegdzie wałęsa się kilka psów, wyjących z głodu lub ryczy z za plotu jałówka, dziwując się tej zastraszającej pustce.

Na końcu wsi, przed popaloną strzechą chaty, siedzi staruszek, który widać tak na wszystko zobojętniał, że mu się z innymi wynosić nie chciało. Siedzi koło drogi i żuje kromkę zaschłego chleba między bezzębnymi dziąsłami. — Pytamy o kierunek drogi, którą przed kilku godzinami przejeżdżał oddziałek rozbitków kozackich. Z trudem wydobywamy od staruszka odpowiedź. Reszta pamięci pod wpływem zajęć ostatnich dni w nim skapiała. Zidyociał do reszty. Żuje czarny, zeschły chleb między bezzębnymi dziąsłami...

Wkrótce jednak sami znajdujemy kierunek drogi kozackiej. Bo oto na dwóch drzewach przydrożnych widzimy z oddali dwa czarne, podługowate cienie... Podjeżdżamy. Dwóch żydów w długich chałatach chwieje się pod gałęzią. Oberżysta i syn. Zrabowawszy karczmę, posiliwszy się i wypiwszy, skwitowali kozacy rachunek z karczmarzem. Powiesili go wraz z synem...

Komenda przenosi się z miasteczka Huszt do miasta Nagy-Szöllös. Kilkanaście kilometrów drogi przez góry, przez bajeczny liściasty, krasą jesienną

skrzący las. Jedziemy z wielką ostrożnością. Nasze patrole wywiadowcze doniosły w nocy, że na tej drodze widziano kozaków. Tren nasz jedzie pod ochroną silnej eskorty. Każdy z nas ma nabitą broń, otwarte rewolwery.

Na drodze spotykamy karawanę uciekinierów, wracających do Maramaros-Sziget. Na wierzchu wozów, naładowanych skrzyniami, betami, siedzą okutane w ciężkie chustki kobiety, z poza pierzyn i poduszek wychylają się główki dziecięce. Twarze pełne i niepokoju i ciekawości, zadziwienia i nie-tajonego strachu. Obok wozów kroczą mężczyźni. Zobaczywszy nas, karawana zatrzymuje się. Słyszymy okrzyki: Lengyel Legio! Twarze ożywiają się, oczy nabierają blasku.

— Polacy, czy droga do Maramaros wolna?

W pytaniu tem, rzuconem z wierzchu wozu przez odważniejszą osobkę o precudnej, od wiatru pokraśniałej twarzyczce, drży niepokój i nadzieja. Odpowiedź na to pytanie stanowi przecież dla tych ludzi: być albo niebyć; wrócić do domostw, zawodu, normalnego tryba życia — lub tułać się o chłodzie jesiennym, marnieć, wieść życie bezdomne.

— Wolna droga, wolna! Jedźcie spokojnie do domu!

W tej chwili karawana przemienia się nie do poznania. Temperamenty węgierskie unoszą się. Z wozów wszyscy, zeskakują i grupują się koło



Sztandar, ofiarowany Legionom przez młodzież węgierską.

nas. Zapytania, krzyki, wiwaty. Ktoś podaje memu koniowi kawałek cukru, ktoś traktuje woźnicę kielichem śliwownicy, ktoś rozdziela między naszą eskortę dawno nie widziane przysmaki: białe bułki.

— Niech wam Bóg dopomoże do odzyskania ojczyzny, do zwycięskiego w marszu do Warszawy!

— Teraz my, Węgrzy, nasza młodzież, nasze wojska, w ogień pójda przeciw spólnemu wrogowi!

Grupka kobiet i starców, których myśli i serca dotąd nurtowała rozpacz, teraz przedstawia obraz pełnego szczęścia.

Nie mamy czasu dłużej się zatrzymywać. Żegnamy uszczęśliwionych. Jedziemy dalej. Karawana w przeciwną stronę. Na skrócie drogi lasowej tracimy ją z oczu.

Nastrój, jaki zapanował na Węgrzech pod wpływem zwycięskiego wyparcia Rosyan z Karpat, nie da się opisać. Podczas gdy na innych terenach wobec Legionów działały i działają czynniki uboczne, czyto polityczne czyto narodowościowe, mając niejednokrotnie stosunki i wytwarzając powierzchnie tarcia — to na Węgrzech entuzjazm był i szczerzy i pełen uświadomienia tej misji jaką miały Legiony.

Bo też na wytworzenie tego zrozumienia się wzajemnego działała potężnie tradycja obu naro-

dów, historia obu społeczeństw. Węgrzy zrozumieli, że akcja Legionów w Karpatach — to dalszy ciąg tradycyi, to jedna z kart w wielkiej księdze, w której jest zapisanych tyle czynów wiekopomych, tyle nazwisk, opromienionych blaskiem.

Córa Węgry była założycielką rodu Jagiellonów; król polski ginie pod Warną, na polach bułgarskich, za cywilizację europejską. Genialny Węgier Stefan Batory, był jednym z pierwszych w Europie, który przewidział, jakim niebezpieczeństwem zagraża spokojowi i kulturze europejskiej rozrastanie się imperyum carów rosyjskich. On to obmyślił plan zabezpieczenia Europy przed niebezpieczeństwem, które dziś, w przeszło 300 lat potem, na nią spadło, plan ugodzenia Rosyi w samo serce, ograniczenia jej na Wielkie Księstwo Moskiewskie. Wyprawy Batorego na Moskwę nie były za prawdę wojnami z przypadku; droga jego na Inflanty, pod Połock, była wyrazem genialnej koncepcyi politycznej. Niestety śmierć przedwczesna przeszkodziła wykonaniu całego planu... Jakby wywdzieczając się za tę genialną postać śle Polska swego rycerza bez zmayı i skazy, Jana Sobieskiego, który Węgry wyzwala z pod jarzma, zdobywa Budę, zwycięża pod Parkanami. Zmieszanie się krwi polskiej i węgierskiej jest coraz częstsze, zbratanie coraz wyraźniejsze. Rok 1848 pieczętuje tę przyjaźń. Franciszek Smolka walczy o polityczne prawa Węgrów.

I znowu tak zrzadziły losy, że w roku rozprawy kultury europejskiej z barbarzyństwem moskiewskim walczyły Legiony polskie.

Z tego wszystkiego zdają sobie obecnie sprawę Węgrzy i jeśli na obecną chwilę patrzeć będziemy przez pryzmat nie ściśle militarny, lecz ukształtowania się stosunków międzynarodowych w dalszej przyszłości — to akcja Legionów u południowych stoków karpát jest jednym z węzłów, który dwa narody na świeżo złączy . . .

Miałem sposobność rozmawiania z jednym z najświetlejszych i najpoważniejszych polityków węgierskich i mogłem z zadowoleniem stwierdzić, że bardzo głęboko wryło się w duszę tego społeczeństwa znaczenie naszej akcji.

— Testament Stefana Batorego — mówił mi — i dziś jest jeszcze aktualny. I dziś narody Europy, jeśli chcą spokojnie się rozwijać na drodze ewolucji kulturalnej, muszą zrobić to samo, co już planował Batory. Muszą zepchnąć potęgę carską do właściwej roli.

Tu uznałem na wskazane w zarysie przedstawić Węgrowi nasze narodowe w tej akcji stanowisko. I spotkałem się z zupełnem zrozumieniem.

— Między Rosyą a środkową Europą — rzekł, muszą być wzniesione potężne mury. I oto jest pole do przywrócenia Polakom należnych im narodowych praw, należnego im samorządu, „der ihnen gebührenden staatsrechtlichen Selbständigkeit (rozmowa nasza toczyła się po niemiecku) im engstem Zusammenhange mit Österreich-Ungarn, eine politische Neubildung, die aus begreiflichen Gründen im Interesse Ungarns ist“.

I tłumaczył mi dalej, że jak w ciągu wieków tylekroć przejawiały się analogie interesów między narodem węgierskim i polskim, taksamo i obecna doba wykazuje identyczność, analogiczność interesów obu narodów.

— Polaków gnębi Rosya — mówił — nas Węgrów faktota Rosyi. Przeciw Polakom występuje bezpośrednio moskiewska nawałnica, przeciw Węgrom powstaje z południa żmija wielkoserbska, wyhodowana na łonie rosyjskiem. Oba te żywioły, i moskiewski i jego narzędzie moskwiczące, podały sobie rękę. Więc i my zwartą masą przeciw nim pójść musimy. Tak ja pojmuję waszą akcyę w Karpatach, z tego stanowiska patrzę na Legiony, i tak zapisze historia wasze odważne przepędzenie kozactwa za Karpaty.

Wybaczenie małą dygresyę powyższą. Podałem ją, acz nie należy do militarnej historyi ostatnich miesięcy. Sądzę jednak, że trzeba to było podać do wiadomości, gdyż ilustruje stosunki i jest miernikiem nastroju na Węgrzech.



III.

Pantyr.

Węgry były już wyczyszczone z rosyjskiego żołnierstwa, gdy przyszedł rozkaz przeprowadzenia się przez Karpaty na stronę galicyjską. Legiony otrzymały bardzo trudne zadanie: przeprowadzić się „przesmykiem pantyrowym“, łączącym ostatnią po stronie węgierskiej miejscowość, Kiralymesö, z pierwszą po stronie galicyjskiej, Rafajłową.

Było to zadanie i trudne i piękne.

Bajeczna jesień opromieniła góry. Po szeregu słotnych, wilgotnych, mglistych dni nastąpiła pogoda. Opuściwszy dworzec kolejowy w Taraczkóz, puszczili się Legiony drogą, wiodącą wzwyż, na szczyty górskie, wzdłuż doliny rzeki górskiej Taracz. Zdało się, że jest się w wyśnionym kraju, w krainie czarów. Słońce malowało na stokach gór symfonie kolorów. Lasy jaśniały od złota, fioletów, rdzawych i żółtych barw liści. Nad szumiącą, rwącą rzeką stał słup słonecznego światła, przetykany padającymi, wiatrem unoszonymi liśćmi. A hen w górze śnieżne pola, połyskujące w słońcu, a dokoła świeże, rzeźkie powietrze górskie.



Na „Drodze Legionów“.

Legiony szły ku szczytom. Na wielkich cmentarzyskach przyrody, na bujnych podściółkach spadłych z drzew liści, noclegowano. Na połoninach rozkładano się obozem, ze świeżych źródeł czerpano wodę, wśród czarnych borów szły patrole i przednie straże.

Wreszcie ostatnie domostwa, ostatnie ślady ludzkiego pobytu. Miejscowość Königsfeld, z węgierska zwana Kiralymesö, kolonia niemiecka o wzorowym zagospodarowaniu i widocznym dobrobycie mieszkańców. Tam w górach, wśród ruskiej ludności — zagrody kolonistów niemieckich, czyste, oparkanione, ze skromnem, lecz niemal wytwornem urządzeniem wewnętrznem.

A poza tymi śladami ludzkiej pracy i kultury, ziemia i skały, lasy i urwiska, halne wiatry i niebo. Królestwo zwierza, państw jeleni i dzików. Jeszcze kilka kilometrów ciężkiej, wyboistej, wąskiej drogi leśnej do „Holzschlaghausu“ księcia Fürstenberga, a potem ciemne jary, ścieżyny, pnące się kręto po górach i przesmyk, zwany „Pantyrpass“.

Przez ten przesmyk, na zachód od wygodnej drogi z Maramaros-Sziget, wiodącej przez Körömezö do Galicyi, miało przejść 12.000 legionistów wraz z kawalerią i artyleryą, wraz z całym trenem, zapasami amunicyi, całym taborem.

Drogi nie było. Zeszłego roku, zimową porą, przeszedł przez „Pantyrpass“ oddział żołnierzy, ale na — nartach. Teraz miała przejść cała dywizya.

Trzeba się było wziąć intensywnie do roboty. Przedewszystkiem zbudować drogę. W jaknajszybszym czasie. Udało się szybciej, niż przewidywano.

W wąwozie wre życie dniem i nocą. Słychać łomot upadających drzew, których kłody stanowią fundamenta drogi; gdzie trzeba tam złomy skalne torują przejścia. Kłof wciąż w robocie, 500 łopat wbija się wciąż w twardy grunt.

Nareszcie trudności pokonane. Oddziały legionistów wkraczają na ziemię galicyjską, dostają się do doliny Bystrzycy, do Rafajłowej, Zielonej, a stąd przez Pasieczną do Nadwórnej.

Oczywista taka przeprawa przez góry, jak wogóle akcja w terytorium po większej części niezamieszkałem lub biednem, stawiała wzmożone wymogi odnośnie do zaopatrzenia wojska w żywność, dowozu amunicyi, stworzenia długiej linii etapowej, któraby utrzymywała kontakt na całej linii od niżu węgierskiego, poprzez Karpaty, do każdoczesnego miejsca pobytu Legionów po drugiej stronie gór.

Było wielką troską komendy Legionów, jak to wszystko urządzić. Na dolinie, wśród sieci kolejowych, wobec szybkości i łatwości transportu automobilami i podwodami, aprowizacya jest łatwiejszą. Ale przez południowy i północny stok Karpat, wśród serpentyn górskich, na przestrzeniach o-

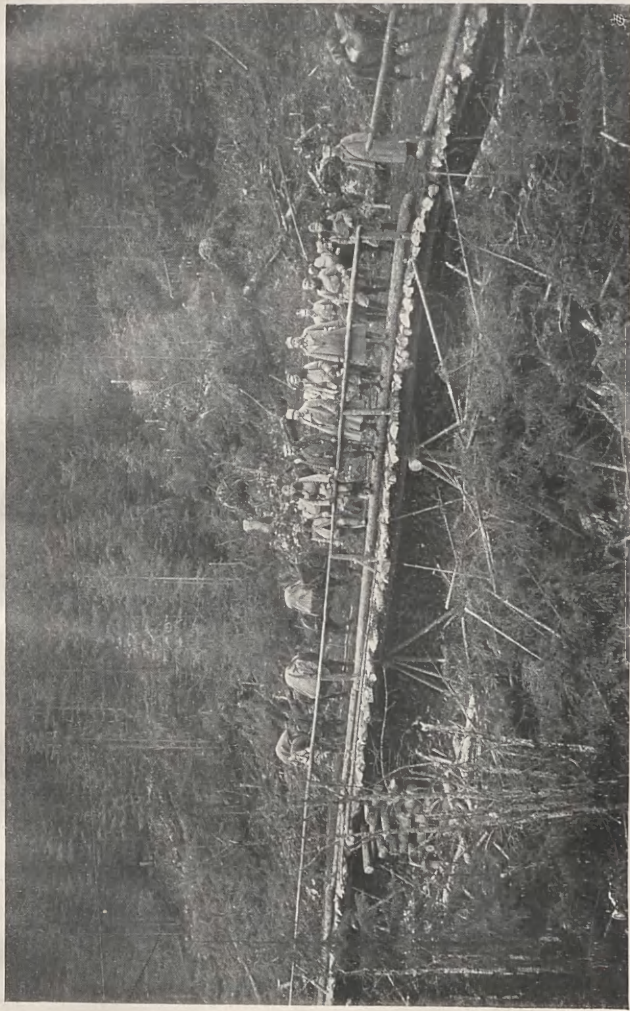
bejmujących dziesiątki kilometrów, na drodze prowizorycznie z wielkim trudem zbudowanej?

Udało się. Pracy było wiele, niezmiernie wiele. Ale ostatecznie: udało się. Znakomity żywiciel Legionów nadintendant Wiszek poustawiał po etapach sprytnych, doświadczonych ludzi, poskupywał na Węgrzech towarów moc, pościagał setki furmanek, i w ten sposób Legiony przejść mogły przez Karpaty, mając każdocześnie zapewniony dowóz materiałów wojennych i żywności, utrzymując wogóle i dla celów pocztowych i sanitarnych i dla kontaktu ze światem, długą, doskonale obstawioną linię etapową.

Ostatni wieczór po stronie węgierskiej. — W sali, w której nauczyciel wioskowy dzieci kolonistów uczył tajemnic języka węgierskiego, rząd desek, oparty o ławy szkolne. Wszystko popakowane do wyjazdu. Toboły naładowane na wozy. Posiłek wieczorny jednoczy oficerów sztabu. Z wielkiego, blaszanego garnka bierze każdy porcyę dymiącego paprykarzu i spożywa z wilczym apetytem. Przez dzień cały nie było czasu zjeść. W ostatnich dniach wogóle mało można było myśleć o sobie. W tej intensywnej, nieustającej wyteżonej pracy. Siedzą nieogolone, zaprawdę salonowością wcale nie grzeszące postacie przed misą i nawet tej chwili nie omijają, by nie mówić o tem, co ich teraz wyłącznie obchodzi.

A przecież tak krótki czas, gdy tych ludzi bardzo, bardzo wiele innych rzeczy obchodziło. Jest jeden, który całe życie spędził w ministerstwie robót publicznych, jako biurkowiec czystej wody, a teraz jakby o tem wszystkim do cna zapomniał. Cóż go to wszystko obchodzi wobec „Munitionstransport“, zapowiedzianego tym a tym wagonem na tę a tę godzinę? Jest taki, który był doskonałym inżynierem — a teraz pochylony nad „Generalkarte“, zna tylko translokację i dyslokację oddziałów. Jest przemysłowiec — teraz z przedziwną intuicyą prowadzi oddział wywiadowczy, wyczarowuje z „Spezialkarte“ obraz pozycyi wroga, jest prawą ręką szefa w oddziale operatywnym. Jest adwokat, który życie spędzał między sądem a kancelaryą, politykując zawzięcie w wolnych chwilach — teraz poza „Operationsprotokoll“ niema dlań większej świętości. Jest publicysta, zjadający zwykle na śniadanie, obiad i kolację po kilku wrogów partyjnych, maczający pióro w żółci — teraz podajcie mu gazetę, a obojętnym po niej powiedzie wzrokiem. „Exhibitenprotokoll“ czy wewnętrzna służba w kancelaryi sztabowej i ważniejsza i — piękniejsza.

Wojna, obowiązek, umiłowanie sprawy pociągnęło wszystkich, spoiło ich mocnym kitem. Komendant, szef sztabu, przyświecają przykładem. Pierzchły wszystkie myśli „cywilne“, wszystkie nawyczki życiowe, poszły w kąt wszystkie tytuły, przywileje. Tu jesteś żołnierzem, oficerem, współ-



50-cio metrowy most w jednym z najdłuższych miejsc „Drogi Legionów“.

działaczem. Kilka tygodni w polu, a przeobrażenie militarne dokonane.

Ani byście matki i siostry, waszych synów i waszych braci nie poznały! — To inni już zupełnie ludzie. Mężni, silni wojownicy. Powodzenie dodało im hartu. Pierwszy krok był szczęśliwy. Akcja na Węgrzech się powiodła. Pójdzie teraz młodź nasza, kwiat naszej młodzieży, ku zwycięstwu!



IV.

„Drogą Legionów“ w głąb Galicyi.

Polana na szczycie Karpat. Dokoła iglaste lasy, obramowane skalistymi, śniegiem pokrytymi stokami gór. Na zielonej runi polany wąziutka, szczelnie udeptana ścieżyna wiedzie ku małemu wzniesieniu. Na nim olbrzymi, świeżo ociosany, na kilkanaście metrów wzwyż strzelający krzyż... Ach, iloma to już takimi krzyżami uścielona jest droga martyrologii Polski, ile krzyżów wносиły ręce żołnierza polskiego r. 1812, r. 1830, r. 1863! Na granicy Węgier i Galicyi postawili legioniści ten symboliczny znak męczeństwa Polski. I dobrze, że na szczycie przełęczy pantyrskiej ten krzyż stoi. Chełpił się ongi hr. Bobryński, że na tych szczytach powiewać będzie sztandar samodzielnego gnębiiciela Polski. — Przyszły Legiony, przyszły jako straż niezłomna Karpat, jako straż etnograficznej granicy ziem polskich, od południa i — nie sztandar cara na szczycie powiewa, lecz stoi prosty, z wysokopiennego drzewa świeżo ociosany krzyż... I jeszcze o jednym świadczy on: oto zadaje kłam



Krzyż, wzniesiony rękami legionistów na szczycie Pantyru.

tym, którzy głosili, że Polska to tylko na zachód od Sanu, tylko część kraju. Przyszły Legiony i szły przez Karpaty do — Polski. Bo zaprawdę nie przy zielonym stoliku, lecz w krwawych zapasach wywalcza sobie naród swe granice. Toteż głęboką jest myśl, która wiedzie do Karpat Legiony w najbardziej ze stanowiska narodowego eksponowane, najbardziej nam odmawiane połaci ziem polskich.

Na szczycie przełęczy pantyrskiej, którą odtąd podręczniki historyi i geografii zwać będą „drogą Legionów“ (tak ją nazwaliśmy,¹ a nazwa przejęła się z zadziwiającą szybkością nie tylko wśród legionistów) stoi biały krzyż,² a na nim wyciosane słowa czterowersza, ułożonego przez legionistę Adama Szapię:

„Młodzieży polska, patrz na ten krzyż!
Legiony polskie dźwignęły go wzwyż,
Przechodząc góry, lasy i wały,
Do Ciebie, Polsko, i dla Twojej chwały“.

Pod krzyżem przeciąga oddział Legionów. Schodzi przez „pantyrską przełęcz“ do — kraju. Dookoła lasy i niebo, szczyty gór i skaliste złomy. Oto ostatnie żebra Karpat.

Ongi w tych nieprzebytych wykrotach i jarach, żlebach i kominach kryli się zbójnicy Dobosza; do ostatnich czasów nikt prócz katylinarnych indywiduów lub przemytników wtedy nie chadzał. Teraz na całej drodze ruch gorączkowy. — Tu na serpentynie, śmiało poprzez dziki strumień rzuconej,

stoi warta; tam pod szafasem, choiną przykrytym, szumią smętne śpiewy; tam oto bucha ogień i gotuje oddział strawę; a tam oto gdzieś leżą połamane wozy i sterczą ku górze wyciągnięte nogi konia, których tylu już padło, na tej strasznej drodze, usłanej śliskimi belkami, nad trzęsawiskami, wyrwami, nad jarami, pokrytymi młakami. . .

A jednak żołnierz polski zmógł te trudności! Bez pionierów, saperów, bez żelaza i betonu, bez reklamy i hałasu zbudował w kilku dniach drogę przez jedną z najdzikszych przełęczy. Bo go ciągnęło ku krajowi, bo się rwał ku Polsce. . .

Przyszedł rozkaz przemarszu. „Droga Legionów“ była wtedy dopiero do połowy gotowa. Jeno do szczytów Karpat. Do granicy galicyjskiej. Nie to! Legiony przeszły. Po dwa bataliony dziennie. Treny posuwały się zwolna za oddziałami. Przeważnie nocną porą.

Nareszcie pierwsza osada po stronie galicyjskiej. Rafajłowa. Wspaniale wygląda — z daleka. Ze szczytów. Po obu stronach potoku maleńkie domki, przypinane do zielonych stoków, bielejące w oddali. . . Z bliska typowa, podługowata, biedna, wyjedzona przez kozactwo, smutna wioszczyna.

Tu poczęło się wypychanie Moskali. Oddziały piechoty rosyjskiej z artylerją, widocznie wysłane,



Na granicy Węgier i Galicyi.

aby wstrzymać marsz Legionów, który prawdopodobnie już był komendzie wojsk rosyjskich wiadomym, zostają przepłoszone. Już 12. października odbywa się pierwsza potyczka naszej przedniej straży, zmuszająca Moskali do jaknajszybszego odwrotu.

I odtąd codzien zwyciężkie wypieranie rosyjskich oddziałów w głąb kraju. Codzien przechodzą przez przełęcz pantyrską nowe bataliony Legionów, coraz więcej zyskujemy terenu po stronie galicyjskiej, coraz głębiej wchodzimy w kraj.

Ciężki to był marsz. Niebo, dopotąd rozpromienione, roześmiane, poczyną się chmurzyć. Cudna jesień ustępuje obrzydliwej, mglistej, lepkiej szarudze. Jak gdyby moskalofilskie bogi się obruszyły, że Legiony wkroczyły w ich pole działania — zesłały straszne burze, które okolice zamieniły w jedno trzęsawisko. . . Posuwając się dnami jarów i dolinkami rzeczulek górskich, brodziło się w błocie, mając nad sobą wieczny, przebrzydłe dokuczliwy deszcz i maszerując mimo to z wielką brawurą naprzód!

Kilkanaście kilometrów przed Rafajłową— Zielona, nadzwyczaj ważny punkt strategiczny. Legiony posuwają się dalej, docierają do Pasiecznej. Od 23. października stałe utarczki z kozackimi patrolami.

Wiadomość o poruszeniach naszych szybko się rozeszła zarówno w naczelnym kołach wojsk ro-

syjskich, jak i obozujących nieopodal grupach armii rosyjskiej. — I oto pierwszy cel naszej operacyi z tej strony Karpat został osiągnięty: stojące na linii od Körösmezö ku Nadwórnio oddziały rosyjskie zmuszone do bezładnego, panicznie szybkiego cofnięcia się, czem ułatwiliśmy dywizyi wojsk naszych posunięcie się naprzód.

Szliśmy przez kilka dni w nieprzerwanie zwycięskim pochodzie naprzód. Nareszcie 24. rano zaczęło się debuszowanie Legionów z Karpat. — Odpoczęły oczy legionistów od widoku gór, w których około miesiąc obozowali. — Przed Legionami ścieleła się równina, wzrok obejmował dalekie, nizinne widoki. . .

Weczesnym rankiem, 24. października wyruszyły Legiony. Wśród huku armat, wśród pękających szrapneli, wśród grzmotu granatów szły niepowstrzymanie naprzód, doszły do Pniowa, przeszły przez Pniów, ruszyły na zdobycie Nadwórnej.

I oto jeszcze tego samego dnia była Nadwórna w ręku naszych wojsk.

Było to przeżycie, jakie na długo, długo zostanie w pamięci tych, którzy byli jego świadkami. — Gdy komendant 2. pułku Legionów, pułkownik Zieliński, wraz z szefem sztabu Zagórskim, wjeżdżali do Nadwórnej, entuzjazm mieszkańców

graniczył z objawami dziecinnymi radości, szczęścia. Ludzie zbiegali się i podskakiwali, wymachując rękami i wrzeszcząc, jakoś nieartykułowanie, przybiegali do koni naszych jeźdźców i całowali po strzemionach, znosili chleb i — konfitury, znosili zwoje kiełbas, przelewali do szklanek i garnuszków konwie gorącej herbaty, wynosili z domów wszystko, co w nich było do jedzenia i picia.

A działało się to bezpośrednio po ustąpieniu Moskali. Na pięć minut, dosłownie 5 minut przed wjazdem szefa sztabu Legionów, kapitana Zagórskiego, uciekli kozacy z miasta.

Zewsząd dochodziły i meldunki i — krzyki:

Są jeszcze w mieście! Jeszcze są w browarze! Jeszcze siedzą w tartaku!

Przez ulice miasta przebiegały nasze patrole, goniąc za uciekającym wojskiem rosyjskiem, które tak nadzwyczaj szybkiego naszego wmarszu za prawdę się nie spodziewało.

A tymczasem Legiony w tryumfalnym pochodzie, wśród wiwatów, idą coraz naprzód. Do skrzyżowania drogi wiodącej z Nadwórnej. Tu meldunki: Moskałe są u wylotu na moście. Komendant 2. pułku każe oczyścić drogę i posuwać się z obu stron opłotkami. — Bezpośrednio za wojskiem sztab. — Wjazd komendanta Legionów Durskiego wraz ze sztabem przemienia się w owacyjne, entuzjastyczne przyjęcie. — W hotelu, który zrabowali kozacy, nagle zjawia się jadła i napoju poddostatkiem...

Żyd gdzieś przecież ukrył swój dobytek, a teraz żołnierzom polskim wszystko zniósł. . .

Do późnej nocy trwa kanonada. — Nic sobie z niej nikt nie robi. Miasto w naszym ręku. Ba co więcej: tego samego dnia nasze oddziały zajmują Sołotwinę i Mołotków. . . Nasze piesze patrole wybiegają daleko poza Nadwórnę; zasięgają języka, że wojska rosyjskie w rozsypce cofają się.

Piękny był dzień. I mocny czyn. I zasłużony odpoczynek tej nocy.





Transport wojsk kolejką górską z Rafailowej do Zielonej.

V.

Nadwórna.

Nazajutrz po zajęciu Nadwórnej spokój; dzień odpoczynku. Moskale cofnęli się, lecz nie mijał dzień, aby nasze przednie straże i nasze patrole, posuwające się daleko poza Nadworną — jeden ze śmiałych oddziałów zajął nawet Bohorodczany, na 15 km od Stanisławowa — nie ścierały się z wojskiem rosyjskiem. Co dzień odbywały się utarczki, a nawet większe bitwy, podczas których Legiony stale wypychały kozaków, piechotę rosyjską i artylerję.

Ten nieprzerwanie zwycięski pochód Legionów w głąb kraju musiał wywołać reakcyę w koman-dzie wojsk rosyjskich. Na naszą akcyę — silna kontrakcyja. Poczęły się mnożyć wiadomości, że ze wszech stron Moskale ściągają znaczne siły, aby powstrzymać pochód Legionów, których przednie straże już gołem okiem mogły widzieć Stanisławów . . . A o to właśnie chodziło. Historia strategiczna tej wojny zapisze jako bardzo ważne plus na karcie wojennej Legionów, iż zdołały te przeważające siły rosyjskie na siebie ściągnąć, a

temsamem odciągnąć je od terenów walk w środkowej Galicyi, ulżyć operującym pod Starym-Samborem itd. armiom.

Waliła na nas masa. Wrażenie naszego pochodu musiało być wielkie, kiedy przeciw nam wysłano tak znaczne siły.

A w nas utrwaliło się przeświadczenie, że właściwy obrachunek teraz się rozpoczyna. Powaga chwili widoczna była na twarzach odpowiedzialnych czynników legionowych. W kolumnie intensywna praca. Cały sztab, wszyscy referenci niezmordowanie pracują. 28. października zyskuje komenda pewność, że rozstrzygający moment już jest bardzo bliski. Każdy zdaje sobie sprawę z tego, że poraz pierwszy Legiony spotkają się nie z zagończykami kozackimi lub drugorzędnym materiałem rezerwowym, lecz z regularnymi siłami rosyjskimi, z formacjami bojowymi doskonale wyćwiczonemi i uzbrojonemi.

Przyszedł dzień 29. października, dzień bitwy pod Nadworną, dzień, który w historyi oręża polskiego będzie miał swą osobną kartę.

Śliczny, precudny wstał świt. O mroku ranym jeszcze mgły chodziły po górach i zasnuwały jakby zwałnioną oponczą firmament. Lecz wkrótce i niebo i góry oczyściły się, opary mgliste zesunęły się i przejasny wstał dzień jesienny.



Wypatrywanie przebiegu bitwy.

Zaczęły się poruszenia batalionów Legionów. Z dwóch stron ku naszym pozycyom zbliżył się nieprzyjaciel. Z nadzwyczajną brawurą zetknęli się z nim nasi dzielni chłopcy. Nieprzyjaciel zaczął odrazu od najsilniejszego ognia. Poczęła się wściekła kanonada, trwająca przez dzień cały. Jak błyskawice latały po nieboskłonie granaty, wszędzie padały pękające i rozpryskujące się szrapnele. Myśmy tym materiałem odpowiadać w równej sile nie mogli. Dostaliśmy wprowadzić trochę artyleryi od wspomagających nas wojsk, lecz nie sposób było tem zrównoważyć siły artyleryi wroga.

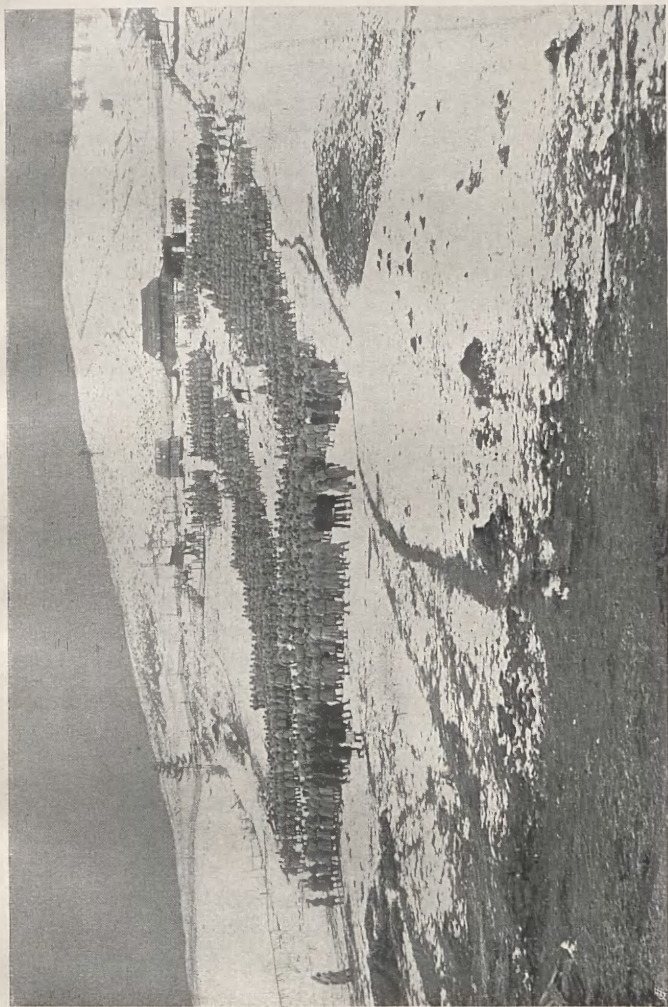
Około południa wyjaśniło się, że nieprzyjaciel jest w znacznej, przeważającej przewadze. Mimo to Legiony nie straciły nadziei zwycięstwa, lecz prowadziły atak własnem lewem skrzydłem, na którem była użyta większość Legionów. Trafiła ona na jeszcze większą przewagę, która poparta przez silną artyleryę i niezwykle wielką ilość karabinów maszynowych, powoli zmuszała naszą linię do odwrotu. Około 3. po poł. przejawiało się już w całej pełni, że takiego naporu nie wytrzymamy, Zostaje wydany rozkaz odwrotu za pobliskie wzgórza. Aż do zmroku trzymały się na nich nasze wojska, mimo morderczych salw, mimo szalonego naporu, mimo wściekłych wysiłków wroga spędzenia naszych z tych wzgórz. — Dzięki temu mógł się po dosłoną nocą dokonać w zwykłym

porządku odwrót na Pasieczną. Tu dawały nasze wojska opór, następnie skoncentrowały się w Zielonej, którą na stałe zatrzymały, jako że jest ona niejako kluczem do sytuacji strategicznej. Wieś ta, rozsiadła po obu stronach dość szerokiej doliny, przecięta jest poprzecznymi wąwozami, z których jeden wiedzie do Delatyna, a drugi do Rypna. Jest to zatem ważne skrzyżowanie dróg i posiadanie tego klucza zapewnia niejako panowanie nad okolicą.

Mylił się też wróg, sądząc, że zajmując taką masą swoich wojsk Nadwórnę, pokonał Legiony. Bo oto wojska nasze poczęły prowadzić w dalszym ciągu oczywista mniejszymi oddziałami ofensywę, poczęły nękać i ustawicznie niepokoić stojące przed nami masy Rosyan, nie dawać im wytchnienia, urządzać na ich formacje zasadzki, podrywać je i niszczyć.

Pierwsza wielka bitwa, jaką 29. października stoczyły Legiony pod Nadwórną, była niejako egzaminem zdolności bojowej tej młodej formacji militarnej. I bez względu na rezultat praktyczny tej bitwy stwierdzić trzeba, że Legiony ten egzamin złożyły i to zarówno pod względem strategicznym jak i taktycznym.

Okazało się bowiem przede wszystkim, że Legiony są zdolne do całodziennego boju z pod-



Msza polowa.

wójną niemal przewagą, i to nieprzyjaciela, sformowanego w regularną armię, nowożytnie uzbrojonego.

Okazało się dalej, że Legiony, których straty w tej bitwie wynosiły około 8%, nie straciły wcale ducha ofensywy, ba przeciwnie, po bitwie okazały większą może jeszcze gotowość do rozprawy orężnej. Boć gdy zwykle po większej bitwie wojska ogarnia zmęczenie i potrzeba wypoczynku, to nasi legionieści, jakby niezadowoleni z dotychczasowych strat, zadanych nieprzyjacielowi, niepokoją go ustawicznie, nasze oddziały na ochotnika rwą się do służby, prześcigają się w gorliwości.

Pozornie odbite i zmuszone do cofnięcia się na linię, którą po ogromnych trudnościach przeszły — dopięły Legiony w zupełności celu, o ile na całą akcyę spoglądać się będzie z punktu widzenia operacyj wojennych. Ocena ta militarna wydaje Legionom świadectwo znakomite. Spadły one jak burza z najdzikszych, zdało się nieprzebytych szczytów Karpat i dotarłszy aż pod Stanisławów wywołały panikę w głównej armii rosyjskiej. Panika ta wyraża się najlepiej w cyfrach: oto nieprzyjaciel musiał forsownymi marszami ze swego głównego frontu ściągnąć dwie dywizye piechoty, ustawić 48 armat, 24 karabinów maszynowych, by wstrzymać zwycięski pochód Legionów. Ba, co więcej, nieprzyjaciel nie może i nadal siłami swobodnie dysponować. Zmusiliśmy je i zmuszamy

wciąż, by stały u wylotu przełęczy karpackich. Rygiel przed Karpatami, który stworzyły Legiony i reszta armii jest jakby ze spiżu. Skruszyć go nie zdołały ani armaty rosyjskie, ani napór piechoty nieprzyjacielskiej. Żyje też wróg we wiecznej obawie, by się Legiony znów nie wdarły do kraju i nie ponowiły tejsamej paniki, jaką w drugiej połowie października na linii od Rafajłowej aż do Stanisławowa wywołały.



VI.

Epizody.

Walka, jaką Legiony prowadzą na terenie galicyjskim, stanąwszy jak mur u podnóży Karpat, składa się z szeregu epizodów, potyczek, wycieczek, brawurowych rzutów, śmiałych zasadzek ryzykownych ekspedycji w czarną noc. Tu przejawiać się może cała rycerskość, cały atawistycznie z generacji w generację przyszczepiający się duch odwagi i osobistej śmiałości, cechującej Polaka.

Kilka szkicowych opisów.

Przedewszystkiem sztab. Może nie ma przykładu drugiego, by sztab tak dalece stapiał się z wojskiem, tak dalece dzielił jego losy, jak w Legionach. Gdzie wojska, tam sztab, komenda, naczelny komendant. — To zasada. — Sztab idzie z wojskami. — Sztab jest w ogniu. — Pod Nadworną u stóp konia naczelnego dowódcy rozprysnął się szrapnel, dokoła stał cały sztab. — W linii

tyralierskiej wciąż znajduje się szef sztabu. Usuwa się z linii ranny komendant pułku trzeciego, z miejsca w linię bojową wskakuje szef sztabu, obejmuje komendę chwilowo i wiezie pułk do boju, dopóki opatrzony komendant pułku — na szczęście rana była lekka — nie wrócił na swój posterunek. — Codzień na linię wyjeżdża kilku oficerów sztabu; odbywają się formalne wyścigi o to, kto będzie miał każdego dnia szczęście towarzyszenia szefowi sztabu na bojową linię, między pociski, kule, wybuchające granaty.

Bajeczną w swej różnorodności, w swej brawurze, graniczące niemal z awanturniczością, była walka o Mołotków. —

Trzeba było walczyć o każdą chałupę chłopską, o każdą zagrodę, każdą piędź ziemi. — Opłotki stały się niemal fortecami, których jedni bronili, drudzy napadali. — Front walki co chwilę się zmieniał. Wieś czyni wrażenie piekła, w którym nie płonie i dymi tradycyjna smoła, i inne ingrediencye kuchni satańskiej — lecz z zimnem wyrefinowaniem ustawił człowiek 20. wieku najpomysłowsze i najkunsztowniejsze zdobycze sztuki wymordowania się. — Granaty świszczą, pękają szrapnele, huczą salwy karabinów maszynowych, płoną zagrody, a wśród tego piekła, tego strasznego rozgwaru, tych walających się pod płotami rannych



*Legioniści w przebraniu chłopskiem wracający z niewoli rosyjskiej, spotykają oddział
wojsk posp. russ., który dzieli się z nimi objadem.*

i zabitych nasza wyśmienita służba sanitarna, nasi mężni lekarze, nasi dzielni sanitaryusze, uwijający się wśród ognia i świszczących kul.

Moc zebraliśmy w tych zmaganiach jeńca. I rzecz wielce znamienita. Po tak zażartych bitwach, w których — zdałoby się — wypełzną najdziksze instynkta, wdechuje w siebie żołnierz zapach świeżej krwi ludzkiej, — żołnierz staje się dobrym, szlachetnym, kochanym, pocziwym chłopcem, pozbawionym wszelkiej zawziętości, niemal serdecznym, czułym . . . Trzeba widzieć, jak nasi legioniści przekomarzają się z Moskalami, zabranymi do niewoli, jak się niemal razem bawią, jak żartują — grubowate to oczywista żarty i wcale nie salonowe — a jak przytem szanują człowieczeństwo osobnika, który został naszym jeńcem, ale który także nosił broń na ramieniu i także pełnił najbardziej męską służbę — służbę żołnierską.

Moc jeńców się przewinęło przez komendę, a wszyscy zostają odstawieni do etapów, a stąd do wielkich rezerwoarów jeńczych w głębi monarchii. Dziwią się oni i są wzruszeni tem, jak się legioniści z nimi obchodzą.

Szczytem pomysłowości i sprytu są natomiast ucieczki naszych chłopców z niewoli rosyjskiej. Na około 200 zagarniętych w zapasach pod Nadworną przez Moskali legionistów przeszło 100 wró-

ciło . . . Jeden się przebrał za chłopą, drugi był lokajem w kuchni sztabowej rosyjskiej, obsługiwał oficerów, wywiedziało się o wielu rzeczach i — lasami błędząc kilka dni, wrócił . . . Tak wszyscy. Popęd samozachowawczy pokonuje wszystkie trudności. Wojna to dobra szkoła życia! Niejeden chłopaczek, który przed niewielu miesiącami w Krakowie nie dałby sobie rady z najmniejszą trudnością i komplikacją — teraz samopas wraca z niewoli, wymyka się eskorcie rosyjskiej . . . Wojna to zmęczenie, to nagła, gruntowna dojrzałość, to najkrótsza droga do usamodzielnienia człowieka.

Od tych też naszych dzielnych chłopców dowiedzieliśmy się, że straty, jakie Moskale ponieśli pod Nadworną, były w porównaniu z naszymi wprost kolosalne. Gdy my mieliśmy około 400 rannych — i to przeważnie lekko — i około 100 zabitych, to ilość rannych i zabitych Moskali przenosi 3000 żołnierza . . . Dzielnie strzelali nasi chłopcy! I celnie . . .

Jaka różnica między nastrojem, dyspozycją psychiczną, którą owładnięty jest polski żołnierz, a siłą bezwładu i przymusu, która wiedzie moskiewskiego — doskonale świadczy następujący epizod:

Idzie przez las ku Mołotkowowi patrol z dwóch legionistów. — Nagle widzą: w lesie coś brunat-



Okopy.

nego błyska . . . Siedzi Moskal i obwija sobie najspokojniej nogę. Karabin oparty o drzewo. Nasi chłopcy zachodzą go z drugiej strony i oświadczają mu solennie, że jest wzięty do niewoli. Oświadczenie to przyjmuje Moskal do wiadomości wśród takich objawów, które ze smutkiem nie mają wspólnego. Idą więc dalej przez las . . . Ba, kiedy zbłądzili! Nie wiedzą, gdzie swoi, a gdzie pozycye nieprzyjacielskie. Wielki kłopot! Szczęśliwi z pobrania jeńca, dumni — a nie wiedzą, gdzie go odprowadzić . . . Więc robią z nim układ: wszyscy trzej pójdą z bronią na ramieniu; jeśli dojdą do obozu moskiewskiego, to Moskal powie, że ich wziął w niewolę, jeśli dojdą do placówek polskich, to oni będą wolni, a on jeńcem. Układ stanął i — Moskal prowadzi. Po czasie pewnym patrzą: w pobliżu placówki legionowe . . . Wyszli z tataratów, ale ciężar spadł z serca Moskalowi . . .

Półtora miesiąca niemal trwająca akcyja Legionów pozwoliła nam — by się tak wyrazić — przesitować materyał, rozróżnić ziarno od plewy, poznać człowieka.

Mieliśmy dość ku temu sposobności, a najwięcej po bitwie pod Nadworną. Setki, tysiące trzymały się dzielnie — jednostki rozbiegają się po świecie i zawodzą.

Rzecz trzeba brać z psychologicznego stanowiska. Ludzie, którzy są w wiecznym strachu

o swą szacowną osobę, którzy nie dorosli do świadomości takiej ofiary za sprawę, jaką może być oddanie własnego życia — ci ludzie nie tylko widzą przez czarne okulary, ale i mocno powiększające. Wrażenia faktów, odciskające się na ich duszy, promieniają potem wokoło w niczem nieuzasadnionej przesadzie. Odwrót, n. p. ze strategicznych względów dokonany, każdy realnie myślący uważać musi za operację wojenną — oni za katastrofę. Każdy maruder, wycofujący się na tyły, szerzy panikę. Wszystko stracone! Klęska! To, co mu się zdaje, to, co jego osobiście dotknęło, to w jego myślach olbrzymieje, to najłatwiej doznaje uogólnienia.

Z tego należy sobie zdać dokładnie sprawę. Wojna jest walką na śmierć i życie. Wojna nie jest rzeczą słabych duchem. Na wojnie dopiero pokazuje się siłę woli i charakter człowieka.

Legiony stoją w ogniu od miesięcy. Są zahartowane, jak stal. Są mocne i dzielne. Panikarze i maruderzy — pod pierzynę! Nie było dla nich miejsca na polach chwały, nie ma dla nich posłuchu w opinii społeczeństwa.

Rok 1914 potrzebuje tylko polskich dusz — mocnych!





Biwak.

VII.

Na Huculszczyznę.

Połowa listopada. W pobliżu siebie stają Legiony i wojska rosyjskie. Rafajłowa i Zielona w rękę naszym — o kilka kilometrów przed nami Moskale. Legiony mają za zadanie stać u podnóży Karpat na ziemi galicyjskiej, być niejako rygłem, zasuniętym przed przesmykami, bronić rosyjskim wojskom wstępu na góry. — Kilkakroć usiłują w pierwszej połowie listopada Moskale skruszyć ten rygiel, odsunąć tę zasuwę, dzielącą ich od Karpat — nadaremnie! Legiony stoją jak mur. Ani sposób ich zepchnąć z Zielonej, z Rafajłowej. Więc Rosyanie wreszcie dają spokój... Widząc, że wysiłki ich bezowocne, godzą się z tem, że Legiony zajęły przełęcz pantyrską, iż usadowiły się na ziemi galicyjskiej.

Poczyna się idylla zimowa z bronią u nogi... Przeszło dwa tygodnie stoimy, niemal nienagabywani, mając przed sobą, tuż obok wroga przykucniętego w okopach... Tu i owdzie, niemal „pro forma“, jakby na wiwat, dla przypomnienia się sobie wzajemnego, pukanina, potyczka, branie jeńca

przechwytanego gdzieś na stoku górskim patrolu rosyjskiego, lekki napadzik nocny, odrobina emocyi. Zresztą spokój i — przeobrażanie naszych Legionów, naszych chłopców w żołnierza, mającego przed sobą kampanię zimową. Całe góry ciepłych ubrań, kożuszków, kamasy, ciepłych pończoch i rękawiczek piętrzą się w magazynach pułkowych i zostają rozdane wojsku. Równocześnie buduje się szałas, stajnie, rozwija się cały aparat administracyjno-gospodarczy, który ma służyć dla ochrony naszych wojsk przed zimmem.

Bo też już czas pomyśleć o zimie i zimnie. Dopiero wprawdzie połowa listopada, a już w górach — luty. Mróz dochodzi do 25 stopni, ziemia pokryta grubą warstwą śniegu, góry w blasku słonecznem opalizują, nad urwiskami strumieni górskich zwisają ciężkie sople lodu, w podwieczersz skrzy się dokoła dyamentowymi blaski. Idzie zima, ciężka, mroźna, bezwzględna zima . . .

I początkowo złudzenie, wzięte jeszcze z czasów przedwojennych: teraz chyba będzie kilka miesięcy spokoju! Boć przecie w takie mrozy, na drogach pokrytych cieniutką warstewką lodu, na polach powleczonych masą śniegu, w te trzaskające mrozy, w te krótkie dni a noce bez końca — wojny prowadzić nie można . . . Złudzenie! Wojna jest, może nawet jeszcze intensywniejsza — tylko toczy się w innych warunkach, dopasowuje się do natury, pór roku, zmian atmosferycznych.

I dobrze, żeśmy w Rafajłowej mieli około dwa tygodnie do dyspozycyi, by przeprowadzić to dopasowanie do przyrody, dostrojenie człowieka, zmuszonego do stałego niemal pobytu w polu, do zimy.

Było to dwudziestego i któregoś listopada, gdyśmy nagle zostali wyrwani z tej idylli zimowej w Rafajłowej. Oto szef sztabu Legionów, kapitan Zagórski, otrzymuje depeszę, powołującą go przez Karpaty na stronę węgierską na ważną konferencyę. W sztabie wszyscy wiemy, co to znaczy. Oto znowu ważne zadanie czeka nasze wojska. Dokąd pójdziemy? W jaką stronę ruszymy? Późną nocą wraca szef sztabu i natychmiast poczyną się gorączkowa praca w komendzie. Wszyscy referenci zmobilizowani. Ekscelencya Durski wydaje rozkazy, szef sztabu wszystkich ordynansowych oficerów rozsyła naprzód, między komendy naszych oddziałów. Całą noc trwa praca w sztabie i już z brzaskiem dnia poczynają się ruchy naszych wojsk. Cicho, bez niepotrzebnych gwarów, niemal tajemniczo dokonuje się marsz naszych batalionów...

Bo oto ma się dokonać manewr strategiczny pierwszej klasy, majstersztyk, pełen subtelności, zrozumiałych tylko dla duszy wojskowej: Legiony mają się przesunąć na wschód, na Huculszczyznę, w okolice Żabiego, Kosowszczyzny, mają przeszło 100 kilometrów przebyć, ale marszu tego mają do-

konać, nie okrażając Karpat, nie przez Węgry, ale posuwając się u południowych stoków Karpat na ziemi galicyjskiej, tuż poza frontem bojowym, tuż pod placówkami rosyjskimi, niemal defilując przed nimi. Manewr udaje się wyśmienicie. Marsz 100-kilometrowy przed żebrami Karpat, na terenie tak skomplikowanym jak podnóże górskie, mając przed sobą wojska rosyjskie, musząc zachować wszelkie środki ostrożności, a równocześnie kryć wszelkie ślady przemarszu — znakomicie się udaje.

Hej, co za niespodzianka dla naszych antagonyistów, gdy nagle Legiony, o których są święcie przekonani, że bawią przed przełęczą pantyrską, w Rafajłowej, spadają jak grom na rosyjskie kolumny o 100 kilometrów dalej na wschód, spadają po raz wtóry zupełnie niespodzianie z Karpat, z brawurą, jaka naszych chłopców cechuje, ze zwinnością i szybkością, z jaką nasze strategiczne manewry od października, od chwili zajęcia przez nas Maramaros-Szigetu, się dokonują.

Szedł nieprzyjaciół przez Huculszczyznę, na granicy Galicyi i Bukowiny — i znowu natknął na Legiony i — stanął. Musiał stanąć, stanął przed opoką.

Poczęło się kilka dni zaciętych walk obu zderzających się ze sobą kolumn: legionowej, wstrzymującej pochód rosyjski przez okolice opuszczone przez inne oddziały armii — i rosyjskiej, rozwście-



Oddział piechoty legionowej.

czonej, że te niezdolne „malczyki“, te „detiny“ znowu tarasują przejście do Węgier, wstrzymują pochód.

I znowu powtarza się objaw, który po raz trzeci w naszych walkach w Karpatach wraca: jak od Maramaros pędziliśmy przed siebie wroga aż do Körösmezö, jak od Pantyru pędziliśmy go aż poza Nadwórnę, tak i tu na Huculszczyźnie, od Żabiego począwszy pędzimy go w głąb kraju, zmuszamy go do stałego cofania się, zajmujemy w błyskawicznem tempie miejscowość za miejscowością, zyskujemy coraz więcej terenu i . . . stajemy nareszcie wobec niziny, marzącem okiem spoglądamy na nią, na kraj nasz, na żyzne ziemie, na ojczyste zagony . . . I mimo ciężkich przejść dotychczasowych, mimo tyłomiesięcznej służby karpackiej, mimo krwawych zapasów nadwórniańskich rwie się nasz legionista, rwą się nasze dusze w te nizinne szerokie przestrzenie. Trzy miesiące tu wojujemy, a ilekroć oczy nasze napawać się mogą pejzażem nizinnym, tylekroć serce żywiej puka, a dzielne nasze chłopaki nasłuchują, azali nie padnie hasło: naprzód, naprzód . . . marsz . . . iść, iść . . . i — znowu zdobyć większe polskie miasto!

Lecz nie czas na marzenia. W wojnie decydują — fakta, a szlakiem marzeń pułki nie idą, jeno twardą, ciężką drogą rzeczywistości.

Na trzecim naszym terenie operacyjnym (pierwszy był Maramaros, drugi Nadwórna) war-

tość bojowa Legionów przejawiała się z większą jeszcze może mocą jak dotychczas.

Kilka przykładów:

Jeden z naszych batalionów, stosunkowo co do liczby najsłabszy, pierwszy miał przybyć na nowe nasze miejsce przeznaczenia. Przybywa i z miejsca zostaje pchniętym naprzód z rozkazem zdobycia pozycyi, utraconych poprzednio. W mig je zdobywa. Nie tylko to. Utrzymuje się na nich i przez następny dzień przeciw trzykrotnej przewadze nieprzyjacielskiej, przeciw silnemu naporowi wroga, rozporządzającego silną artyleryą, aż do chwili, gdy z naszej strony posiłki i dobrze znana Moskalom nasza artylerya zmienia atak nieprzyjacielski w gwałtowną, paniczną ucieczkę...

Inny nasz batalion od 7 rano do 9 wieczór bez przerwy walczył ze znaczną przewagą nieprzyjacielską. Zdałoby się, że to dość, że na jeden batalion dostateczne działanie. Lecz nasi chłopacy w boju mają siły, które zdają się z każdą godziną walki nie słabnąć lecz rosnać... Bo oto późnym wieczorem, po 14-godzinnej nieprzerwanej walce, zdobywa się batalion na brawurowy, wprost zachowaty czyn: przy świetle księżyca rusza naprzód, idzie na bagnety i — wyrzuca nieprzyjaciela z zajętych pozycyi...

Patrol nasz zostaje wysłany hen górami, lasami, poprzez jary, daleko na tyły nieprzyjacielskie. Spostrzega rezerwę nieprzyjacielską o dzie-

sięciokrotnej, dosłownie: dziesięciokrotnej przewadze, niż nasz patrol. Nie namyślając się wiele, szykuje się nasz patrol do boju, atakuje z nie-nacka z lasu, wprawia silnym ogniem nieprzyjaciela w popłoch, bierze kilkanaście jeńca i ... wraca tą samą drogą, którą przyszedł ...

Albo brawurowy kawał naszego trzeciego szwadronu kawaleryi pod dzielnym komendantem Janem Brzezińskim. Trzydziestu siedmiu naszych jeźdźców spotyka 300 piechoty rosyjskiej. Natychmiast: z konia! Karabiny w dłoń, tyralierka i — mordercza salwa w piechotę rosyjską. Kilku z miejsca pada, kilkunastu rannych i kilkunastu w niewolę wziętych. Napad tak nagły i tak skuteczny, że Rosyanie w popłochu się cofają, naszym nic złego nie zrobiwszy.

W okolicach, w których teraz waleczyliśmy, byliśmy nie tylko mile witani, ale wprost entuzjastycznie przyjmowani. Była to nadzwyczaj przyjemna odmiana. W tym kraiku, odgrodzonym od świata, wśród tego malowniczego ludu — zupełnie odmiennego od ludności, zamieszkującej północne Węgry i południowe stoki Karpat, w których dotąd przebywaliśmy — drzeźnię dobre instynkta. Tu, w Huculszczyźnie, jad agitacyi moskwiczaczej nie wsączył się. Oczywiście ze stanowiska narodowego, z racyi polskiej sprawa się

inaczej przedstawia. Lecz teraz, gdy nad wszystkie problemy polityczne wypromieniał jeden: walka z Moskwą; gdy stanowisko jedynie racjonalne: ktożeś, wszystko jedno, byleś brał broń do ręki, i bił, walił we wroga — prąd antyrosyjski, jaki tu spotkaliliśmy, działał dobrze i dodatnio.

I to głośno powiedzieć trzeba. By oddać sprawiedliwość tym, którym się ona należy.

Huculszczyzna cała krasniała radością i szczęściem, że się broni jej przed zalewem kozackim. Hucuł składał dowody, że mu bliższy ten, kto bije Moskala, niż ten, kto go dawniej chciał gwałtem poróżnić z Polakiem. Sercem lgnął do tych, którzy ruszali w bój.

I wynieśliśmy też z tej naszej akcyi na Huculszczyznie pewne wrażenia, które się nie zatra, i pewne wskaźniki, o których przyjdzie mówić wtedy, gdy miecz zostanie schowany do pochwy. Trzeba będzie kłam zadać tym wartogłowom, którzy bajali o nieprzebytych przepaściach . . .

W grozie ognia, w pożodze, w walce z odwiecznym wrogiem obojętnymi lub nawet nieprzychylnymi nam byli ci, których ten wróg zdołał skorumpować — na niezepsute pokłady duszy zbiorowej ludu huculskiego pleśń moskalofilska nie dotarła. I to będziemy pamiętali.





Translokacya!

VIII.

Czwarty teren operacyjny.

Nie długo dane nam było bawić na Huculszczyźnie. Operacye wojenne wymagały zluzowania Legionów przez inne wojska, gdyż Legiony czekała inna, nowa praca, inny nowy teren: obrona przejść karpackich pod Ökörmezö. Po kilku dniach walki na linii Żabie, Krzyworównia, Jasieniów, Sokołówka po krótkim pobycie nad Czeremoszem, po umocowaniu tamtejszego terenu, poszły Legiony, by się na czwartym już terenie operacyjnym z wrogiem mocować.

Po nieudanej próbie wtargnięcia na Węgry przez Maramoroski komitat z końcem września i początkiem października, po unicestwieniu przez Legiony i inne oddziały armii inwazyi rosyjskiej — pchnęła Rosya bardziej na zachód wielkie masy wojsk w Karpaty, by zalały Węgry.

Legiony zostają powołane do współdziałania, by tą drugą próbę inwazyi sparaliżować, zostają wysłane na niezwykle ważny front, gdzie prze-

ważne siły nieprzyjacielskie poważny wywierają nacisk.

Jest w tem i dowód tężyzny Legionów i dowód zaufania, jakie naczelne władze wojskowe mają do naszych wojsk. W krótkim czasie otrzymujemy już czwarte zadanie — jedno trudniejsze od drugiego — i z każdego wywiązujemy się, w każdym odgrywamy rolę decydującego, ostatecznego, miarodajnego czynnika. Gdzie sytuacja zaostrzona, gdzie powaga chwili wielka — tam idziemy. Czują te Legiony, że nie są dodatkiem, rezerwą, lecz frontowem, na wszystkie zdecydowanem, mężnie każdemu zadaniu czoło stawiającem wojskiem. I wiedzą o tem koła wojskowe. To też nie dziwnego, że tym razem komendzie Legionów powierzyły działanie na nader eksponowanem stanowisku, że prócz legionowych batalionów powierzyły jej dowodzenie silnymi oddziałami różnej broni.

Mieliśmy z Żabiego przed sobą conajmniej 5 dniowy marsz, by się dostać na nowe miejsce przeznaczenia. Na szczęście kolej we własnem posiadaniu i możność prędszego transportu. Lecz że transport tak prędko się odbędzie, nikt się nie spodziewał. Bo niespełna w 24 godzin po otrzymaniu rozkazu translokacyi odbył się marsz, transport i znowu marsz. Po upływie jednej doby były nasze oddziały na nowem miejscu przeznaczenia... Bo Legiony przyzwyczały się do tego, żeby z miejsca na miejsce przerzucać się z błyskawiczną szyb-

kością. Bo nikt u nas więcej ani się nie dziwi, ani nie przestrasza, jeśli przyjdzie rozkaz w pierwszej chwili na pozór niewykonalny. Nasz aparat gospodarczy, nasze treny i magazyny, nasze środki przewozowe tak są udoskonalone, iż niemożliwe staje się możliwem. Przy znacznej dozie dobrej woli, szybkości przeprowadzenia rozkazów i sprawności wojsk — wszystko daje się wykonać. Ino trzeba chcieć . . . A na wojnie ta chęć akcyi decyduje!

A fakt, iż coraz szczytniejsze zadanie, coraz odpowiedzialniejsze i coraz — trudniejsze staje się udziałem Legionów, tylko dumą nas naprawiać może. Wojna to nie wybiórka najwygodniejszych pozycji życiowych, to nie chadzanie po linii najmniejszego oporu. To mus. To twarda droga po coraz trudniejszych stacyach. Tylko ludzie słabego serca litują się. Serca żołnierskie radują się, gdy im się powie: by dojść do celu trzeba, iść po najcięższej drodze. Trud nie przestrasza więcej naszych legionistów, bo im większy trud, tem większe zadanie, tem większa satysfakcya czynu.

Wielkiem jest zadanie obecnej akcyi Legionów.

I ciężkie i niebezpieczne. Lecz żeśmy to zadanie dostali, to nas i w dumę wzbija i serca przepełnia radością.

Bo to jest wynik legionowej pracy i krwi. To najlepsza nagroda za rzetelne spełnianie żołnierskiego obowiązku.

W chwili, gdy w notatniku te słowa zapisuję, wiele rzeczy wielkich naokół się dokonuje.

W chałupince przydrożnej w górach, w biedniutkiej wioszczynie Zapredził, chwilowo przebywa nasz węższy sztab. Rano wyjechaliśmy przed front. W jednej izdebce na stole rozłożone mapy, nad którymi pochylony ekse. Durski i szef sztabu Zagórski. Tuż obok z bloczkiem szef kancelaryi, a dokoła oficerowie ordynansowi, gotowi w każdej chwili do przetransportowania rozkazów na wszystkie strony.

W drugiej izdebce nasz telefon polowy, wiecznie odbierający meldunki, wiecznie ekspedujący dyspozycje.

A dokoła nas odgłosy bitwy. Dudnią armaty, suną wozy amunicyjne, spieszą treny, pędzą jezdni gońce, idą kolumny wojsk na pole. . . .

Za kilka godzin będziemy gdzieindziej. W mgłę niepamięci rozwieje się ta przydrożna chałupka, w której dziwnem zrządzeniem wypadku zbiegają się nici, idące na dziesiątki kilometrów w dal. . .

Jutro? Hej, gdzie będziemy jutro. . .

Teraz armaty, grzmiące po górach i te salwy karabinowe, dudniące przed nami, wykuwają nam „jutro“ . . .



Komendant Legionów, szef sztabu i oficerowie ordynansowi.

Prowadzą siedmiu jeńców. Przed miesiącami starałem się dotrzeć do duszy takiego człowieka, zbadać nastrój, który nim włada. Dziś — któżby jeszcze o takich sprawach myślał! Tylu się ich przewinęło . . .

Dziś inne kryterium interesuje, gdy sprowadzają takiego jeńca dla spisania z nim protokołu i odesłania go do wielkich rezerwoarów jeńczych w głębi monarchii. Dziś napotykamy na charakterystyczny objaw: uznanie ze strony wroga, słowa pełne podziwu.

„Wot, maładcy, inyje by naś nie wziali w plen“ . . . mówi jeden, a oczy mu się skrzą.

„Nu, a kak haraszo strelajut“ . . . dodaje drugi mlaskając przy tem językiem, jakby go doleciała woń najsmakowitszej monopolki.

I to jednostkowe uznanie, ten pokłon żołnierski przed lepszym żołnierzem — przeniesiony na wyższą sferę, na tych, którzy temi maryonetkami rosyjskimi kierują, również znamienne się przejawia.

Moskale liczą się z tem, że mają naprzeciw sobie oddziały legionowe. Znać to po sposobie ich walczenia. Ruchy ich robią się mniej pewne. Idąc dolinami bystro wypatrują na góry i lasy, czy z nich patrol szaleńców nie wpadnie im na flanki i tyły. Idą wielkimi grupami, zawsze z silną artyleryą i karabinami maszynowemi.

Kozacka buta, która się przejawiała jeszcze w październiku, gdy po raz pierwszy Legiony pod

Maramaros z wojskami rosyjskimi się zetknęły — zapodziała się zupełnie. Moskale wiedzą, że te „malczyki“ to groźny wróg. I dlatego ustalili sobie niejako sposób wojowania z nami w górach. Starają się nas obejść, otoczyć, a tem samem sparaliżować siłę i celność naszego frontowego ognia. Ale nawet obchodząc idą nieśmiało, pełni wachnień, jakby stąpając po gruncie najeżonym kolcami, pełnym ukrytych, niewidzialnych niebezpieczeństw. Boć przecież nieraz im się w ostatnich miesiącach przydarzyło, nieraz srodze na własnej skórze odpokutować musieli: chcąc nas obejść, sami zostali otoczeni.

Bo też teraz oddziały nasze nietylko umieją strategiczne posuwać się i manewrować, ale również strzelać i celnie i dla nieprzyjaciela groźnie.

Co to bowiem znaczy mieć najnowszą, udoskonaloną, wyśmienitą broń!

Strzelał człowiek z takiego pukadła i wyrzucał za każdym strzałem pięciometrowy kłęb białego dymu... Trafiał, wyrządził szkodę, ale — zdradził, skąd strzela. Bezpośrednio po strzale już go wróg zna, już odpowiada, już gardziel armatnią skierowuje, już szrapnele nad głową latają...

Cóż dopiero, gdy leży długa linia tyralierska i strzelając wytwarza olbrzymie kłęby dymu, zdradzające wyśmienicie pozycye.

A nowoczesna bitwa to działanie sekretne. Chodzi przedewszystkiem o to, by jak najdłużej ukryć pozycyę i siłę, która na pozycyach stoi.

I dlatego posiadanie najnowszej broni jest jednym z głównych czynników powodzenia.

Legiony prawie pozbyły się zupełnie starszych systemów broni. Mają i więcej jeszcze . . . Więcej niż ręczną broń. . . Lecz o tem dowiedzą się Moskale najprędzej — na własnej skórze.

Wogóle: w ciągu kilkumiesięcznej naszej tu-tejszej akcyi dokonał się szereg wielce znamiennych przeobrażeń. Jednem z nich jest kwestya zaspokojenia potrzeb materyalnych i bojowych Legionów. Wszelkie starania, wszelkie protekcyonowiczostwo, wszelkie zabieganie po biurkach — ustało. Legiony pracą swą, powodzeniem swem, pożytecznością swą same się protegują, same sobie coraz lepsze warunki i bytu i boju stwarzają. Otrzymały broń najnowszą, otrzymują ekwipunek najlepszy.

To też im dalej w czas — tem lepiej wygląda nasz żołnierz, tem lepiej je i żyje.

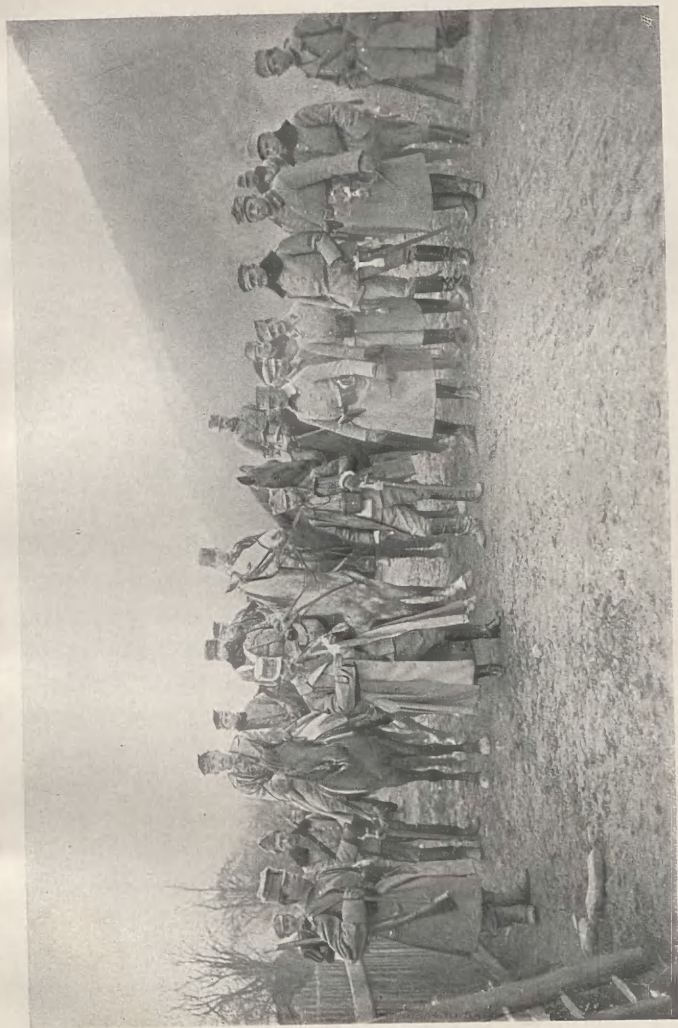
Onegdaj na stacyi kolejowej Bustyahaza wysiadły bataliony, by ruszyć marszem na pole. Serce się radowało, gdy się na naszych chłopaków pa-

trzało. Jakby nie po 3 miesiącach pobytu w polu, po 3 miesiącach nieustannej walki — lecz jakby wprost z domu, wprost z „igły“.

Nasi chłopcy kraśniali, wyświeżeni, ciepło ubrani, wysmienice odżywiani.

To też ich wartość bojowa wciąż rośnie.





Grupa oficerów.

IX.

Powstawanie nowych wartości.

Wojna to oczyszczenie atmosfery z miazmatów, to sprowadzenie do istotnej wartości wszystkiego, co w pokojowych czasach zdołało nieproporcjonalnie wybujać, to — by użyć zwrotu Nietzscheańskiego — przewartościowanie wartości.

I w narodzie polskim dokonuje się obecnie taka zmiana wartości. Dokonywują ją — Legiony.

Poraz pierwszy od chwili rozbiorów postawił naród jednostkę bojową, nie partyzacką, nie utajoną, nie idącą z motyką na słońce — lecz jawną, mocną, legalną i będącą eksponentem tej siły, która decyduje o losach narodów — siły oręża. Krzepiliśmy przez sto lat, przez całe dziewiętnaste stulecie, ducha; rok 1914 pozwolił nam poraz pierwszy ukrzepiać się fizycznie, uzbroić się i być kombatantem. To idea legionowa.

I dlatego też w realizacyi tej idei widzimy szereg objawów, których naród od chwili utraty swej samodzielności państwowej nie zaznał, obja-

wów nowych, ustosunkowań nowych i nowych wskazań.

Jednym z tych objawów jest stosunek walczącej Polski do tej, poza polem walki się znajdującej, do „Hinterlandu“.

My tu na froncie nietylko się bijemy, ale i tworzymy nowe ukształtowania własne do tych, którzy pozostali. W umysłach naszych tworzą się nowe koncepcye, nowe poglądy na świat; człowiek, który przechodzi przez „via dolorosa“ i „via triumphans“ żołnierskiego, wojennego bytu, zmienia się, przesiąka innymi poglądami, niejako przepoczwarcza się.

I dlatego nie bez ogólnego interesu będzie, jeśli pokuszę się o psychologiczny rzut między nami na froncie, a wami poza frontem, jeśli wyjaśnię, jakie zmiany w naszym dotychczasowym sposobie myślenia spowodowało kilka miesięcy w polu, jak o was myślimy, jakich doświadczeń nabyliśmy i — czego się spodziewać macie, jakimi nas zastaniecie, gdy kiedyś wrócimy . . .

Było to zawsze znamięnieniem militaryzmu, że powodował pewne rozłupanie społeczeństwa na dwa czynniki: jeden, który dla siebie anektował pracę efektywną; drugi, który był stale pomawiany

o próżniaczenie, przeszkadzanie, odjadanie społeczeństwa.

Podczas długotrwałej ery pokojowej, która poprzedziła obecną wojnę światową, antagonizm obu tych czynników wielce się zaostrzył. Przypomnijcie sobie — a bądźcie przytem szczerzy: cożście stali mówili o żołnierzu? wy, szeroka masa, . . . Okrzykiwaliście go ciężarem dla społeczeństwa, zjadającym lwią część podatków, składowanych przez „ludzi pracy“, tuczającym się na krwi społeczeństwa.

Przyszła wojna i — okazała się prawdziwa wartość rzeczy. Jak bańka mydlana prysły odleżałe aksjomaty. Istotna wartość przejawiała się w całej pełni. Kłamstwa konwencyjonalne, któremi nas karmiono, wypełzły i zatraciły się doszczętnie.

To, co przez wszystkich było okrzyczane jako ciężar, pasożyt — to zaczęło działać, pracować efektywnie, przejawiać ciężyznę, siłę; ten dawniej tak postponowany czynnik stał się ośrodkiem wszelkiego działania, koło niego zaczęło się wszystko koncentrować. W mózgach wyłaniać się zaczęło: od siły, jaką się stawia, wszystko zależy. Dawniejsi „ludzie pracy efektywnej“ skazani zostali na . . . krytykowanie; dawniejsze „pasożyty“ wysunęły się przed front i zaczęły działać.

Wżyjcie się w urabiającą się psychę nowoczesnego żołnierza, tego od kilku miesięcy aktywnego

na polu człowieka: rośnie w nim poczucie własnej wartości i . . . maleje, maleć musi uznanie wartości tych, którzy jeno gładzą, jeno krytykują, jeno krzatają się, jeno pomagają. Gdy oni „idą“, on maszeruje; gdy oni tygodnie zużywają na konferencye, on chwilkę potrzebuje na wystrzał, którym obala najpiękniejsze konstrukcye przy zielonym stoliku; gdy oni komponują memoriały i obnoszą je po przedpokojach, salonach, radcowskich biurach, on pisze pięć słów na bloczku i setki, tysiące od stóp do głów uzbrojonych mężów idzie, urągając śmierci, do czynu.

Więc zrozumcie, jak się tu dusza przeobraża, jak się nowy typ człowieka kształtuje: człowieka, który mniej mówi, a więcej działa, mniej przygotowuje się, a więcej wskóra.

I zrozumcie: jak dystans rośnie między człowiekiem, żyjącym na froncie, przed twardą paszczką armat, a człowiekiem wegetującym tymczasowo w umeblowanych ciepłych pokojach, szwendającym się po „szerokim świecie“ Kärntnerstrasse, czy innej rzęsiście oświetlonej uliczki, przeżywającym jeno z bibuły gazetowej, jeno w kawiarnianym dymie, to, co my tu na froncie przyżywamy na pozycjach, na okopach, wśród latających szrapneli, wśród przenikającego zimna grudniowych nocy.

To też w umyśle człowieka z frontu kształtuje się obraz człowieka na tyłach zgoła odmienny od sądu, który wy sami o sobie macie.



Grupa oficerów batalionu 2/III komendanta Fabrycego.

My tu retrospektywnie patrząc, widzimy tam u was dwie warstwy: kobiety, dzieci, starców i — panikarzy, wszechwiedków, czy „besserwisserów“, dziwiących się, czemu tak jakoś patrzą na nich z ukosa.

Ci wszyscy robią tam na tyłach wielki szum. Krzątają się, chodzą z wielkimi minami, ważą pod czaszkami wielkie plany, ba nawet „poprawiają“ plany strategiczne zawodowców, mówią szeroko i „głęboko“, każą się podziwiać i wielbić, spisują łokciowe memoryały i odezwy, napuszone tram-tadaracye, wypalają setki cygar podczas „grun-townych“ obrad i konferencyi.

Ktoby wedle tego rumoru, tego reklamarskiego szumu sądził, myślałby, że ci tam na tyłach, noszący czasami i elegancki czyściutki mundurek i poprzekujący po kawiarniach szabelką, nominujący się nawzajem wysokimi godnościami wojskowymi (*lucus a non lucendo*), że ci „z tyłu“ stanowią ośrodek akcji wojennej; że wojska są jedynie appendiksem, dodatkiem do nich; że tam na tyłach wszystko się dzieje, a nie tu, na froncie; że tam wysokie napięcie, a nie tu, na polu zmagania się życia ze śmiercią; że tam w kawiarniach powstają, dzieje, a nie tu, w walkach o każdą piędź ziemi; że tam ten aeropag napuszony, nadęty, który porozdawał między siebie godności, urabiając opinię, tworzy przyszłość.

Legiony, walki i wzmaganie się, powodzenia i ofiary, są siłą, tworzą realne wartości. A ci „dokoła“, chadzający z tramtadarackimi gestami i pozami i wojujący... na promenadach wielkomiejskich lub salonach czy fajfach, to chwilowe pionki, chcący — korzystając z nieobecności ludzi czynu — urobić dla się opinię, utrwalić swe nazwiska na potem.

Ach, to „potem“...

W chwili, gdy to piszę, galopuje przed kwatere jeździec na przemokłym, zdyszanym, spienionym koniu. Przywiózł meldunek, hen z góry, z śnieżnych pól, z pozycyi ogniowych, z rowu, w którym garść naszych spędziła atakującego nieprzyjaciela.

Cóż te wszystkie atramentowe tryumfy tych z tyłu znaczą, wobec wysiłku jednego zajęcia pozycyi, wobec siły jednej salwy?

„Potem“, po wojnie, przyjdzie jedyna, racjonalna ocena, przejawia się jedyne, efektowne wartości.

A wartość mają te siły, te tylko czynniki, które działają i zwyciężają. Pokonani jak i kwerulanci, kibice jak i krytycy z wygodnego fotela, ucie do gadania nie mają.

Wróci generacja nowych, przeszłych przez piekło ognia ludzi w dom. Wrócą ci, którzy przebyli wojnę w polu, w obozie.



Przeprawa szwadronu kawalerji przez rzekę Nagy Ag.

Żelazo w ogniu hartuje się w stal. W zwilgłej gnuśnej atmosferze przegryza je rdza.

Wróci generacya, która w ogniu strasznej walki, walki, jakiej świat nie widział, zahartowała się. Generacya mocna, niezłomna.



X.

Wieczór wigilijny.

Idzie mrok. Idzie ciemność i szarość i mgła. Kładzie się na ośnieżone szczyty Karpat, zsuwa się po połoninach, wtula się między gałęzie i konary drzew po stokach . . . Gęsta, nieprzenikliwa ciemność . . .

Coś błysnęło. Stoi chłopak, okutany w płaszcz, a ostrze bagnetu błyszczy w ciemności.

— Kto idzie?

Głucho, twardo to powiedział. Stoi na stoku góry jako „relais“, jako łącznik między zakopanym na froncie, w obłożonych podściółką choinową okopach, oddziałem, a formacyami rezerwowemi w tyle. Co kilkaset kroków stoi w tę ciemną noc, na wysokiej drożynie, u kraju lasu, łącznik i wypatruje okolicę.

— Stój! kto idzie?

— Swoi . . . ksiądz kapelan idzie na pasterkę przed front . . .

Spojrzałem w tej chwili chłopcu w oczy i wzroku tego póki życia nie zapomnę.

W tych oczach było i łkanie i gloria, i ból i żar, i wizja stołu, w którym na sianie bieleje obrus, i fantom drzewka, promieniejącego srebrnymi nici, gorzejącego świetelkami świeczek kolorowych, i obraz ojca . . . matki . . . braci . . . ukochanej, tego jasnego dziewczęcia, o którym na górze pod Ökörmezö, wśród zadymki śnieżnej, dusza tylko nieśmiało marzyć się odważa . . .

Idzie ksiądz kapelan przed front. Z nim kilku oficerów. Idzie polskim dzieciom w tę noc wojny zwiastować narodziny tego, który był symbolem pokoju. Idzie dzielić się z synami Polski, walczącymi, uzbrojonymi, opłatkiem . . . Idzie na pasterkę, odprawioną w gotyckim kościele lasów szpilkowych, na białych taflach śnieżnych pól, pod baldachimem roziskrzonych milionów gwiazd na niebie, przed ogniskiem stosów, płonących dla ogrzania się o kilkadziesiąt kroków od okopów, wśród rzędów karabinów, paczek z amunicją, pak szrapneli . . .

Zbliża się północ. Małeńki szalas, na prędcie z choiny sklecony. W nim dokonuje się misteryum . . . Srebrzysty odgłos dzwonka. Podniesienie . . . W cieniu poza szalasem pochyła się kilkaset głów, przypada do ziemi kilkaset ciał . . .

Bum — bum — bum! Huk silny, ciskający modlącym się w twarz falę powietrza, grzmot, odbijający się o góry i lecący dokoła. To na froncie, o kilkadziesiąt kroków przed szalasem, grzmiały armaty, wre bitwa . . .

— Synowie Polski! żołnierze! legioniści! —
poczyna kazanie nasz kapelan, młody, o płowych
włosach, jasnem, przeczystem oku X. Antosz, a
w głosie drzy coś, jakby strunę zwilżono słoną
łzą. Dzisiejszy wieczór spędzacie . . .

Bum! Nowa salwa.

— . . . to dla matki, dla idei, dla Polski . . .

Z oddali idzie łomot straszny. O kilka kilo-
metrów na przedzie stoją armaty rosyjskie i wala!

— . . . ten, co zwiastował pokój boży na
ziemi . . .

„Dystans trzy tysiące pięćset! Pierwsze działo
— ogień!“

Słowa komendy mieszają się ze słowami kapłana.

Suchy trzask i — bum! Grzmot przeszywa
powietrze.

— . . . ci, co polegli dla matki . . .

„Drugie działo — ogień!“

A potem siedzi dokoła ogniska, karabiny
oparłszy o ramię, gromadka:

„Wśród nocny ciszy głos się rozchodzi,

Wstańcie pasterze, Bóg się wam rodzi . . .“

Ksiądz kapelan i towarzyszący mu oficerowie
wracają przez stok do wsi.

Dawno już po północy. Coraz dalej grzmoty
armatnie i coraz ciszej dolatują dźwięki kolendy,
śpiewanej na okopach:

„Lulaj że Jezuniu, lulaj że lulaj,

A Ty go Matulu z płaczu utulaj . . .“

Stajnia. Za dnia pełno tu było koni i rzędem stała tu uprząż i wory owsa i pęki siana.

Teraz wieczera wigilijna. Oddział kawalerii sztabowej zaprosił komendanta Legionów, by spędził kilka chwil w gronie swej przybocznej gromadki kawalerzystów. Na ścianach zwieszają białe derki, podłoga pokryta mchami, dokoła ścian wija się festony gałązek choiny, i błyszcza skrzyżowane szable, mające w pośrodku wysokie czako ułanów polskich. W środku stajni długi stół z najprymitywniejszą zastawą żołnierską: cynowe misy, blaszane kubki, gdzieś skąd zabłąkany puharek szklanny; w kącie płonie drzewko...

— Bacność! komenderuje szef kawalerii sztabowej, chorąży Górka.

Wechodzi komendant Legionów z kilkoma oficerami sztabu.

Na talerzu biały opłatek. Ręka twarda, przywykła do szabli, ręka młoda dwudziestokilkuletnich kawalerzystów drży, gdy sięga po opłatek i dzieli się z tym, który w tej chwili zastępuje ojca, dom, rodzinę — wszystko...

— Chłopcy moi, dzieci moje, żołnierze moi! Szedłem do stajni, a przyszedłem do pałacu... Bo tam, gdzie wy jesteście, stajnie zamieniają się w pałace...

I głos mu się załamuje, temu staremu wojowski, co to tyle już widział i tyle przeszedł w twardej szkole żołnierskiego zawodu.—

W pośrodku junackiej garstki siedzi generał i z misy czerpie łyżką cienki barszcz, a oczy mu się śmieją i promieniają na widok młodzi. A im serce ze szczęścia taje i robi się rozgwar, i kraśniejają policzki, i animusz bije z tych postaci, oderwanych od domu, od miesięcy włóczących się po karpackich wyżach . . .

A potem chwila skupienia i ciszy. Bo oto poeta kawalerzyckiego oddziału, kapral Mączka, głosi słowa improwizowanego toastu:

„Wigilia — drzewko — stół — opłatki.

Wierciecie mi . . . wielka to godzina!

My — dzieci jednej, wielkiej Matki,

Wielka, żołnierska dziś rodzina.

Gdy tu opłatek wraz spożywa,

Wierciecie mi — chwila . . . osobliwa . . .

W Polsce! o jakżeż cudną bywa

Ta noc, w królewskiej śniegów szacie . . .

Tam każda chata dzisiaj — śpiewa!

Tam każde serce śpiewa w chacie

Pieśń, co w krąg echem się rozchodzi,

Wieszcząc radosne: Bóg się rodzi!

W Polsce! . . . Dalekie — dawne czasy . . .

Zda się . . . latami przegrodzone . . .

Przeszliśmy góry, rzeki, lasy,

Pola — krwią żyźnie zaroszone . . .

By wreszcie, głosy stęsknionemi,
Dziś kolendować . . . w obcej ziemi!

Precz smutek z czoła! Nam dziś trzeba
Hartu! Stalowej ducha mocy!
Wiary — w przewodnią gwiazdę z nieba,
Co ma nas wieść — wśród ciemnej nocy
Pomiędzy groty armatniemi
Do Betlejemu — Polskiej ziemi!

Więc: sursum corda! w górę czoła!
Toast tu wniesiem, o druhowie!
Lecz pijcie — sercem — dookoła —
Bo piję: szabli polskiej zdrowie!
Za naszych piersi harde męstwo!
Za bój o wolność! Za zwycięstwo!

Na śmierć tyranom — i na zgubę
krwawemu Polski Herodowi!
By rwać niewoli więzy grube,
my jutro na śmierć iść gotowi!
Więc skrzepmyż dzisiaj serca lasze —
Komendancie! W ręce Wasze!“

Leśniczówka. Dokoła oparkaniony ogród,
a w nim rzędem ustawione, świeżo z desek zbite
stoły. Przed nimi ławy. Z wszystkich stron płoną
łuczywa i czerwonym blaskiem oświecają sylwety

siedzących rzędem przy stołach. Wiatr grudniowy prze przez dolinę rzeki Nagy Ag, szumiącej opodal leśniczówki; zwilgła, nieprzymarzła gruda lśni w odblaskach ognia.

To wieczera wigilijna kompanii sztabowej, ordynansów, czeladzi. A między chłopcami siedzi ekscelencya. Z misy nabrał do cynowej manierki kapusty i kartofli, wziął drewnianą łyżkę do ręki i — wierny tradycyi panów polskich — spożywa ze swymi wiernymi wieczerzę wigilijną.

A potem zbiera się sztab Legionów w małej izdebce leśniczówki, pełnej trofeów myśliwskich, rogów, wypchanych okazów ptactwa i zwierzyny górskiej. Zbierają się ci, którzy są duszą i ośrodkiem akcyi w Karpatach.

Ktoś na głos marzyć począł... Ktoś mówi... Jakieś widma snują się po izbie... Kościuszko... Dąbrowski... Mickiewicz... Langiewicz... Traugut... Okrzeja... Jakieś dźwięki idą po powietrzu... „Marsz, marsz — — — do Polski“...

W tem słyhać głos telefonisty, tuż obok powtarzającego tekst otrzymanej właśnie depeszy: „Grupa — — — zaatakuje — — — kota 821 — — — jeńców — — — odparty.“ To rzeczywistość, wciskająca się między tych, którzy choćby na ten jeden wieczór radziby od niej ulecieć...

Otwierają się na oścież drzwi i słup zimna staje w izbie. Sześćdziesiąt kilometrów na rumaku pędził goniec, by przywieść meldunek sytuacyjny

grupy na skrzydle działającej. Posili się z nami, nabierze świeżego ciepła i jeszcze tejsamej nocy wróci . . . Bo wojna nie zna, co to święta.

Podać wina! „Następny wieczór wigilijny, za rok, w — — —“. I to słowo święte, ta wielka nazwa grzęźnie w gardzieli. Wszyscy czujemy, wszyscy widzimy, gdziebyśmy następną wilię spędzić radzi . . .

W tem z cicha otwierają się okna i z ogrodu wpada kłęb dźwięków, ulatających z młodzieńczych piersi. Zebrali się nasi chłopcy i śpiewają „kolendę sztabową“, jedną z tych wiązanek pieśni, której matką jest chwila.

„W dzień Bożego Narodzenia
Radość wszelkiego stworzenia —
Dziś w Legionach wielkie święto:
Ofensywę rozpoczęto!

Rozpoczęto!

Pan generał przodem jedzie,
Do ataku sam nas wiedzie,
A Zagórski robi plany,
Już trzy noce niewyspany —

Niewyspany.

Jakubowski mu pomaga,
W sztabie wielka to powaga,

A Wrosteek i Dzwonkowski
Też niemało mają troski,
Mają troski.

Merwin, co był redaktorem,
Teraz jest żołnierza wzorem,
W kąt nożyce i gazety,
Jeździ z nami na wedety,
Na wedety.

Pułkownika Wiszka głowa
Wszystkich nas tu cudem chowa,
Gdyby nie on, jużby cała
Polska głodem przymierała,
Przymierała“.

Idzie strofa za strofą — każdy w niej jest —
każdy swój konterfekt znajduje. A kończy się:

„Panie Jezu — Dziecię małe,
Dajże nam zwycięstwa chwałę!
Niech w żołnierskiej tej kolendzie
Chwała Tobie wieczna będzie —
Wieczna będzie!“

Tak płynie ta jedyna, tajemnicza, wielka,
pełna pobożnego czaru noc. Pierwsza to noc,
którą obecna generacya młodzieży polskiej spędziła w ten sposób. Wyrwano ją z objęć rodziny,

pozbawiono domu — a ona w środowisku obcym stworzyła sobie cudowną łaską swego zapachu dla Idei tę wzniosłą, jedyną noc.

Na tej przestrzeni kilkudziesięciu kilometrów wyżu, wśród tych szczytów górskich, w tych okopach, wedetach, placówkach, szałasach, szpitalach siedzą synowie Polski i wyczarowują sobie w tę noc obraz przyszłości świetlanej. I wierzą.



XI.

Trzy miesiące wojny górskiej.

Spoglądamy na kwartał doświadczeń wojennych; możemy się już pokusić o zbilansowanie tych doświadczeń, uzyskanych trzymiesięczną nieprzerwaną służbą polową.

Październik, listopad, grudzień spędziliśmy w Karpatach. Na czterech terenach operacyjnych: Na linii 1. Maramaros-Sziget—Körösmezö; 2. Taraczköz—Nadwórna; 3. Worochta—Żabie; 4. Huszt—Ökörmezö. Na wszystkich tych terenach prowadziliśmy wojnę katexochen górską. Szliśmy z góry na góry; spędzaliśmy wroga z gór; okopywaliśmy się na stokach górskich; windowaliśmy na góry nasze armaty; nasze patrole szły lasami, zalegającymi góry; nasza kawaleria cwałowała przez przełęcze górskie.

Jaką wartość miała ta wojna górska dla Legionów? Z dwóch punktów widzenia: militarnego i moralnego. Militarnego — jako szkoła żołnierska, moralnego — jako ukrzepienie, zahartowanie, zmęznienie.



Oddział karabinów maszynowych, gotowy do marszu.

Przypomnijmy sobie: chwila, w której opuszczaliśmy u schyłku lata a z początkiem jesieni, Kraków. „Deportacya!“ krzyczano. „Idą na przepadłe!“ szeptano po kątach. „W górskim terenie zniszczą“ . . . „Gdzież tam młodemu żołnierzykowi wojować w górach?“ A inni: „Wynarodowia się.“ „Stracą kontakt z krajem.“ „Spopieleje zapal, zgaśnie iskra, gorejąca na dnie dusz.“

Tak mówiono. A my dobrze wiedzieliśmy, że tak poza nami mówiono. I nie sobie z tego nie robiliśmy . . .

Bo wiedzieliśmy, a tym, którzy nie wiedzieli, powiedzieli ci wśród nas, których głos jest kompetentny — że nie tak żołnierza fizycznie i moralnie nie rozwija, kształci, nie tak nie przeobraża w pełnego bojownika, jak wojna górską.

I tak też się stało. Spoglądając teraz w trzymiesięczną przeszłość — widzimy to jak na dłoni.

Wojna górską jest przede wszystkim szkołą samodzielności i taktycznego wyszkolenia. Góry usamodzielniają żołnierza, stawiają wielkie wymagania nie tylko co do jego bitności, lecz również wielkiego napięcia wszystkich władz psychicznych, daru orientacyjnego, szybkości decyzji.

Przykładowo: Legiony mają zająć pewien teren. Teren, poprzegradzany szczytami górskimi, jarami, wąwozami, strumieniami, lasami, polanami. Każda z kompanii, każdy pluton staje się z miejsca czymś całkowitem, samodzielnem, uniezależnio-

nem od siebie. Bardzo często trudno o łączność z bocznymi formacyami, których nie tylko, że nie widać, ale do których trudno się dostać. Każda najdrobniejsza kolumnka staje się ośrodkiem samodzielnej akcyi, każdy komendant choćby najmniejszego oddziału jest zdany na własną inicjatywę, własną pomysłowość, własną decyzję. A to wyrabia żołnierza, czyni go mocnym.

Albo: wysyła się patrol w góry. Daje się jej rozkaz dotarcia do pewnego punktu, wykonania pewnego zadania. Z chwilą wymarszu w góry patrol staje się czemś samodzielnem. Bo działać musi wśród warunków, zastosować się musi do okoliczności, które wysyłającemu są niewiadome.

A tej samodzielności oficerowie i legionieści dopiero uczyć się musieli. W twardej, ciężkiej służbie górskiej wojny. Oczywiście z początku niejedno przytrafiło się wykolejenie, niejednen dowódca oddziału, straciwszy z powodu górzystego terenu kontakt z rozkazodawcą naczelnym lub łączność z działającymi po bokach oddziałami — nie doszedł tam, gdzie powinien lub doszedł nie w porę, ale wraz z czasem, z gromadzącymi się doświadczeniami doprowadziły Legiony do takiego wyszkolenia strategicznego, takiej taktycznej doskonałości, jakiej na innym, nizinnym terenie zaprawdę w tak krótkim czasie nie byłyby zyskały.

Oczywista takie forsowne, w niemal 50 potyczkach i bitwach, jakie w trzech miesiącach



Karabin maszynowy na pozycji.

karpackich bojów przeszły Legiony, zdobyte wydoskonalenie pociągnąć musiało i straty i odpadki bardzo znaczne. I śmierć i rany i choroby i dostanie się do niewoli musiało wykruszyć część stanu prezencyjnego wojsk, bez przerwy przez trzy miesiące walczących. Lecz cóż znaczą te straty w stosunku do tego, czego się reszta nauczyła! Oczywiście nie ze stanowiska humanitarności, ludzkości. Bo z tego punktu widzenia każdej jednostki żal i ból ściska serce, że nauka zdobyta została takimi ofiarami . . . Ale z punktu widzenia militarnego, ze stanowiska idei militaryzmu polskiego, z baczenia na przyszłość — to sprawa jakże inaczej się przedstawia!

Dziś mamy oficerów, podoficerów, żołnierzy, którzy bogaci są w doświadczenia, oswoilili się z ogniem wśród najcięższych warunków terenowych, zahartowani są trzymiesięcznem zmaganiem się. Dziś ośmnastoletni chłopcy nieco tylko dawniej poduczeni, chłopcy, którzy prawie nie strzelali, a huku armatniego nigdy nie słyszeli — są dojrzałymi mężczyznami, dla których żadna opresya nie nowina, żadna sytuacja zbyt ciężka, iżby się z niej wydostać nie można. Dziś posłać gdzieś słabą kompanię legionową, to zdziała więcej niż dawniej batalion. I o ile z początku z lękiem myślano: tych ochotników, pełnych wprawdzie zapału, ale nowicyuszy żołnierskich wysyła się na najtrudniejszy teren wojowania, w góry! — o tyle dziś

z satysfakcją głośno powiedzieć można: żelazny mus, twarda szkoła, nieustanna walka doprowadziła do napięcia całej energii, wydoskonalila, uczynila legionistów wyborowem wojskiem.

Taksamo krótki, trzymiesięczny czas naszego pobytu w Karpatach w niwecz obrócił i inne obawy, które przejawiały się, gdyśmy ruszali w pole, obawy — wynarodowienia się.

Przyjdźcie i patrzcie! Przybądźcie kiedy, wy, którzyście wlewali jak zgorzknienia w dusze narodu i straszyliście słabych fantomem odstępstwa narodowego tych, którzy poszli bronić Karpat, tych wałów granicznych Polski!

Patrzcie, jak tętni życie narodowe w Legionach, jak serca gorące i jak mocno w duszach zakorzenione: wszystko jedno dla Polaka, gdzie go postawią, byle go postavili naprzeciw — Moskale, byle walił w narzędzia krwawego cara!

I bardzo znamieny, bardzo charakterystyczny objaw, który dopiero w roku 1914, tylko w Legionach, się przejawiał! Siła atrakcyjna polskiego narodu, polskiego oręża wobec otoczenia, wobec innych środowisk.

Miała Polska niepodległa, Polska przed rozbiorami, wielką moc przyciągania, wielką siłę atrakcyjną, wielki pęd dośrodkowy. Przybieżali w średnich wiekach Niemcy i przetwarzali się w do-

skonałych Polaków. Byli Ormianie, Litwini, Włosi, Francuzi, Rusini. Wchłaniała ich Polska swą siłą atrakcyjną, bogacąc się napływowym elementem.

Czasy porozbiorowe umniejszały tę siłę atrakcyjną. Coraz trudniej, coraz oporniej szło z elementem napływowym. Jeszcze Mickiewicz mówił o „Litwie — ojczyźnie“; w pierwszym dziesiątku lat 20-go stulecia już tak niestety mówić nie można było . . . Jeszcze w pierwszych latach 19-go wieku Ruś była naszą. A czyż przy końcu wieku kwestya ruska nie była wieczną wylegarnią fermentów?

Cóż widzimy? Z Wiednia mamy już trzy pełne kompanie, w większości swej złożone z wiedeńczyków, a słuchające komendy polskiej, śpiewające polskie pieśni, idące w bój. Z Budapesztu przyszła kompania — Węgrów. Gdyśmy byli na Huculszczyźnie, przybieżali Huculi i doskonałą jako osobny oddział pełnią służbę . . .

I jeśli mowa o „wynaradawianiu“ — to chyba mówić mogą ci, którzy do nas przyszli i — wciąż dalej przychodzą jako Niemcy, Węgrzy, Huculi itd., by w świętym ogniu boju, dla Idei przetapiać swe dusze, przetwarzać się, przenikać ideologią środowiska, wśród którego i z którym walczą. A pobratymstwo, zawarte na polach chwały, to kit chyba najsilniejszy . . .



XII.

Próby syntezy.

A przecież żołnierz nasz się trzyma! Przez szereg miesięcy jest w ogniu strasznym, krew w żyłach ścinającym, przed frontem, ziejącym zniszczeniem! Przez tyle czasu przechodzi tak nie-ludzkie wprost trudy! Spi tygodniami na szcze-rem polu, na podściółce śniegu, ledwo przed zimo-
wym wiatrem ochroniony cienką gałęzią choiny czy kilku na prędcie skleconymi deskami. Masze-ruje dniami i nocami, dźwigając na młodych swych plecach brzemie ciężko opakowanego tornistra, wspina się na strome szczyty górskie, przelegiwa bez ciepłej strawy nieraz dniami całymi w rowie strzeleckim. A przecież się trzyma! A przecież Legiony walczą obecnie z tąsamą pasją i tym-
samym zapałem co w październiku! Mimo braki uzupełnienia, mimo iż uprzednie wyćwiczenie było niedostateczne, uprzednia organizacja tylko w naj-
ogólniejszych zarysach przeprowadzoną, mimo strat, jako że wojna z natury swej musi powodować straty, a obecna powoduje je w wysokim stopniu. Mimo to wszystko — żołnierz polski jest, i to jest coraz silniejszym, bitniejszym, wytrzymalszym.



Nassa artylerya.

I tu się przejawia wartość idei dla formacyi bojowej. Nie o wszystkim decyduje siła fizyczna, liczba, tresura, nawet wyższość i ilościowa przewaga broni. Są to elementa w wojnie konieczne. Lecz nie decydujące. Zwłaszcza nie wtedy, gdy do nich nie przyłącza się czynnik jeden — idea. Dopiero stop idealny wszystkich elementów wojennego rzemiosła — siły fizycznej, liczby żołnierza, jego wyćwiczenia, wyśmienitej broni — z czynnikiem moralnym, ze stanem psychicznym duszy żołnierskiej, łaknącej boju, z ideowością bojownika, dopiero ten stop stwarza doskonałość.

Legionista jest ideowcem. Jako taki ochotnie, z własnego popędu wdział mundur, rzucił karabin na plecy. I tą swą ideowością opancerzył się silniej niż najtwardszą stalą.

I oto rozwiązanie problemu, dlaczego ten młody człowiek, który w pierwszej połowie roku 1914 jeszcze oddawał się lekkim zajęciom szkolnym, niezbyt ciężkiemu zawodowi rzemieślniczemu czy intelektualnemu, który fizycznie jeszcze w przeważającej większości nie doszedł do pełni rozkwitu męskiego — rzuciwszy się w straszny wir zawieruchy światowej, miotany z jednego terenu operacyjnego na drugi, terając nadludzko siły — przecież to wszystko wytrzymuje! Ba, coraz lepiej wytrzymuje . . .

Patryotyzm i zawziętość, umiłowanie sprawy i zapamiętałość — oto siły, działające nań ożywczo, wsączające w zmęczone jego ciało wciąż odnowa

siłę życiową, odradzające go po każdym forsownym marszu, każdej potyczce, każdym trudzie.

Lecz poza tą pryncypalną kwestyą, dającą wyjaśnienie, jakim to przyczynom przypisać należy fakt, iż żołnierza naszego po półrocznej niemal wojnie nie zmogła mordega, piekło współczesnego sposobu wojowania — znajduje się mnóstwo problemów, domagających się również wytłumaczenia.

Tu samą psychologiczną analizą, samem wnioskowaniem w stan uczuciowy, w stronę ideową — wytłumaczenia nie sposób znaleźć. Tu do uświadomienia prowadzi — doświadczenie. Tu trzeba wciąż mieć wzrok skierowany w środowisko naszych Legionów, wciąż być z naszym wojskiem, poznać i znać je, patrzeć od zewnątrz ku wewnątrz, doświadczać wraz z Legionami — by z doświadczeń Legionów dochodzić do norm ogólnych, do przejawów syntetycznych.

Legionista wyraża w przygniatającej swej większości typ żołnierza - inteligenta. W dwojakim stopniu pojmowania tego wyrazu. Legionista jest bądź „inteligentem“ w znaczeniu odbycia studyów, posiadania pewnej sumy wiedzy, wygimnastykowanego mózgu, urobionych sądów, bądź w zrozumieniu tej przyrodzonej inteligencji, tego otwartego spojrzenia w świat, tego uświadomienia, które go różni od wrogów, do których



Nasi artylerzyści.

strzela, a którzy w większości swej uświadomienia tego nie posiadają, są ciemną masą, pędzoną cudzą wolą.

To, iż przeważająca większość Legionów składa się z ludzi, przynależnych do inteligencji, pociąga za sobą — o ile patrzeć będziemy na ten fakt i oceniać go ze stanowiska wojskowego — następstwa dodatnie i ujemne.

W ogniu, w boju, na froncie ma ten fakt same dobre strony. Wartość naszego legionisty jako piechura znamienicie wzmacnia jego niezaprzeczalną inteligencją. Kompania — to nie trzoda owiec z pasterzem na czele i kilku psami owczarskimi po bokach. Im więcej w kompanii elementów inteligentnych — tem w nowoczesnej wojnie lepiej. Kompania walczy w tyralierze, rozsypuje się na tyle odrębnych niemal, a często uniezależnionych od siebie całości, z ilu jednostek się składa. A wtedy trzeba samodzielności, zrozumienia dla akcyi. I dlatego piechociarz nasz legionista taki świetny. Jeszcze w większym stopniu inteligencją potrzebna w artylerji, gdzie i aparat wojenny kunsztowniejszy i konieczność posiadania wielce skomplikowanych wiadomości wojskowych niezbędna. Nie inaczej rzecz się ma z kawalerją. Tu spryt osobnika odgrywa olbrzymią rolę, tu dobrym patrolistą, dobrym wywiadowcą w terenie nie będzie nikt, kto nie ma silnie rozwiniętej przyrodzonej inteligencji, nie dysponuje tą wyższością

intelektualną, jaką daje dopiero prawdziwa inteligencya.

I oto, dlaczego legionieści w każdym gatunku broni stają się wkrótce tak wytrawnymi, dlaczego, pierwotnie ograniczeni do ćwiczeń niemal tylko teoretycznych w bardzo szczupłym zakresie działania, siłą swej inteligencyi wkrótce opanowali najmisterniejsze rodzaje broni, nauczyli się obsługi armat i górskich i polowych, i dawnych systemów i najnowszych szybkostrzelnych, obchodzenia się z kunsztownym aparatem karabinów maszynowych itd., oto dlaczego i cała armia nasza o całe niebo przewyższa moskali!

Lecz również i z psychologicznego stanowiska na rzecz patrząc widzimy, jak kultura i inteligencya legionistów naszych niepomrotnie się przyczyniała do podniesienia wartości moralnej naszych żołnierzy. Oba czynniki psychiczne, tak ważne w boju: odwaga i panowanie nad sobą — rozbłysnąć w całej pełni mogą tylko w osobniku inteligentnym! Nieinteligentny ma odwagę rozpacz, a nie odwagę czynu, świadomego środków i celu; nieinteligentny nie zapanuje w chwili krytycznej nad sobą, lecz przeciwnie: wszystkie przeszkadzające w boju instynkta nad nim.

Naprzeciw tych dodatnich objawów, wynikających z faktu, iż przeszło 80 procent legionistów należy do inteligencyi, stają jednak i ujemne, złe strony.



Inteligent - legionista ma większą skłonność do krytyki, do rozeinania skalpelem analizy tego, co — zwłaszcza z punktu widzenia żołnierskiego — nie znosi żadnego krytykizmu. Żołnierka — to rozkazodawstwo i bezwzględny posłuch. Dowodzący nie ma potrzeby dostarczania argumentów na uzasadnienie swych rozkazów; żołnierz nie ma prawa podglądania pod to misterne przedziwo, w którym tak różnorakie nici zbiegają się w jeden deseń rozkazu. Krytycyzm w służbie wojskowej, a zwłaszcza na wojnie — to wróg, może gorszy od tego, który naprzeciw stoi z bronią w rękę; to rozsadzanie karności, to siewstwo zgorzknienia.

A drugi ujemny objaw, częściej występujący u żołnierza - inteligenta: większa butność, przeholowanie w samowiedzy, coś z tego samochwała, o którym już polski satyryk pisał jako o „miles gloriosus“. Butność — o ile się zwraca przeciw nieprzyjacielowi — jest objawem dodatnim, wprost znakomitym; o ile jednak zwraca się przeciw ludności cywilnej, nieżołnierzowi, lub przeciw innym żołnierzom, innym rodzajom broni, przeciw do innych armii należącym członkom — jest objawem ujemnym.



XIII.

Gospodarka i instytucye.

a) Intendantura.

Ogół najczęściej albo zupełnie niema wyobrażenia albo ma błędne, niedostateczne — co to znaczy gospodarować w takim środowisku, jakim jest armia. Ogół wie: armia maszeruje, walczy, zdobywa. Ale ta armia musi być ubrana, musi jeść, musi otrzymywać broń. Weiaż, bez najmniejszej przerwy. Ta armia jest w wiecznym ruchu. Dziś tu, jutro kilkadziesiąt kilometrów dalej. Dziś otrzymuje obiad w kwaterach, jutro w okopach. Jak to wszystko jest urządzone? Żle zaprowiantowana i wyekwipowana armia do tygodnia zmarnieje. Dobrze zaopatrzona walczyć będzie miesiącami z nieślabnącym zapalem.

Legiony miały pod tym względem szczęście. Gospodarka legionowa funkcjonuje wyśmienicie. Od samego początku. Legionista ma zawsze dostateczny ekwipunek, zawsze i dobrze je. Otoczony jest w swej ciężkiej, zaszczytnej służbie opieką najstaranniejszą. Sam o swych potrzebach materialnych ani przez chwilę myśleć nie potrzebuje. Myśli zań — intendantura, myśli żywiciel



Szef intendantury Legionów Wiskak.

Legionów, nadintendant Wacław Wiszek ze swym personelem.

Był to nadzwyczaj szczęśliwy traf, iż komenda armii tego właśnie wytrawnego, doświadczonego i pełnego zrozumienia dla wyjątkowej sytuacji Legionów męza przydzieliła jako szefa naszej intendantury. W tym niskim, krępyim oficerze tkwi niespożyta energia, gotowość do pracy ponad przeciętną miarę, a co najważniejsze: serce, umiłowanie Legionów, troska o każdego z osobna, stosunek dobrego ojca do dzieci.

Szefowi Intendantury Wiszkowi zawdzięczam poniższe daty, z którymi chcę się podzielić z ogółem naszego społeczeństwa, by wiedziało, jak synowie jego żyją, jak są zagospodarowani.

Czem w dobrze prowadzonym domu gospodyni, tem w zbiorowisku żołnierskiem intendantura. Jej obowiązki są najrozmaitsze. Ma ona zaopatrywać wojsko w żywność, mundury, bieliznę, buty, w sanitarne potrzeby, w uzbrojenie i amunicję, wreszcie w rzecz, którą nikt nie pogardza: pieniądź.

Ba, ale nietylko musi w to wszystko żołnierza zaopatrywać — trudność polega na tem, aby to wszystko dowieść na czas do oddziałów, przed front, w każdoczesne miejsce pobytu żołnierza. Cała sztuka w tem, aby na tygodnie, miesiące wprzód zaopatrzyć się we wszystko, aby ustalić

doświadczeniem, ile wozów, juków itd. potrzeba, aby nawet przez pół dnia żołnierz nie zaznawał głodu, ile czasu trzeba, by zakupy go doszły.

I jeszcze jedna trudność: dostosowanie się do pór roku, do rozmaitych warunków atmosferycznych, wpływających i na utrzymanie żywności i na jej transport. W lecie potrzeby na ogół mniejsze, zimą wyżywienie, odzianie i zakwaterowanie wojsk stawia wzmożone wymagania. Zimową porą dołącza się ważna troska: umieszczenie ludzi i koni pod dachem, ochrona przed mrozem.

Zacznijmy od „nervus rerum“ wszelkiej gospodarki — pieniądza. Już stary Montecucculi powiedział, że do prowadzenia wojny potrzeba trzech rzeczy: pieniędzy, pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy. Każdy oficer musi otrzymywać swą gażę, każdy żołnierz swój żołd.

Wojna potrzebuje mnóstwo produktów. A te trzeba zakupić. Łatwiej gospodarować wojskom, które już w czasach pokojowych zebrały wiele materiałów, przedmiotów ekwipunku i wyżywienia, które mają daty z doświadczenia czerpane, ile będą potrzebowały każdego materiału. Inaczej było z Legionami. Te powstały dopiero z chwilą wybuchu wojny, niczego wprzód nie miały, żadnych materiałów, magazynów, doświadczeń.

Więc w Legionach wszystko trzeba — kupować. Intendantura w ten sposób tu postępuje, iż oblicza, ile oddziały legionowe potrzebują na pewien czas pieniędzy na swe odzianie, wyżywienie itd. i sumy takiej żąda od najbliższej kasy operacyjnej.

Łatwo otrzymać pieniądze — trudniej je dostarczyć poszczególnym oddziałom legionowym. Więc intendantura nasza ustanowiła dwa terminy w miesiącu, w którym oddziały nasze mogą otrzymywać z kasy legionowej pieniądze: 1-go i 10-go każdego miesiąca. Lecz jak te pieniądze dostarczyć oddziałom? Przy skoncentrowanej dyslokacji Legionów musi niejednokrotnie oficer, zjawiający się z batalionu, szwadronu, baterii po pieniądze dla całego oddziału, często i 48 godzin jechać, aby dostać się do kasy legionowej — natomiast przy dyslokacji, rozciągającej się na setki kilometrów, nie sposób dotrzymywać terminów. Dlatego też ustalili się u nas zwyczaj, iż po pieniądze oddziały przysyłają wtedy, kiedy jest okazja.

Pieniądz jest pierwszorzędnej wagi, za gotówkę można wszystko dostać, ale — nie tam, gdzie wojsko potrzebuje. Pieniądzy żołnierz nie zje, on chce — żywności.

Główną zasadą jest tu, iż żywność skupuje się tam, gdzie się wojsko znajduje. Z otrzymanych funduszy kupują sobie oddziały towar i wtedy żołnierz najprędzej dochodzi swego. Lecz działać się to może tylko w tych okolicach, które same mogą

utrzymywać i żywić skoncentrowane w nich wojska. Z wyjątkiem kadry kawalerii, stale przebywającej na miejscu, Legiony podczas całego swego pobytu w Karpatach nigdy nie mogły się wyżywić na miejscu t. j. z zapasów żywności tej miejscowości, na której przebywały. Toteż głównem zadaniem intendantury naszej było, błyskawicznie się zastosowywać do każdorazowych dyspozycji translokacyjnych, na liniach operacyjnych natychmiastowo zakładać magazyny i wyszukiwać te sposoby transportowe, aby stale dostarczać wojskom, będącym w ciągłym ruchu, potrzebnych środków materyalnych.

By rzecz przykładowo i jaśniej wytłumaczyć, obierzmy sobie z dotychczasowych terenów walk Legionów jeden: teren Kiralymezö-Nadwórna.

W połowie października otrzymały Legiony rozkaz przejścia przez Karpaty i wtargnięcia do Galicyi. Ostatnią stacją kolejową był Taraczköz. Z miejsca trzeba tu było urządzić magazyn. Ponieważ okoliczne miasta jak np. Sátmar Nemeti, Beregsass jeszcze posiadały dość środków żywności, trzeba było momentalnie w nich poczynić zakupy, postarać się o dostawców, którzyby wciąż dostarczali towarów. W ciągu 24 godzin w magazynie w Taraczköz było: 50.000kg ryżu, 20.000 kg cukru i kawy, 30 wagonów owsa, 200 wołów itd.

Jeden jednak najważniejszy przedmiot użytkowania nie daje się odrazu zakupić, lecz musi



Juki, przewracające żywność dla Legionów przez przełęcz pantyrską.

być wciąż odnowa robiony: chleb. Jest to bardzo skomplikowana i trudna historia! Własnych piekarń nie mamy. Trzeba chleb zamawiać i transportować. Z jakimi to połączone było trudnościami, oto przykład: chleb wypiekali dla Legionów piekarze w Satmar, którzy codziennie mieli obowiązek przysyłać 2 wagony chleba do Taraczkóz. Stąd musiano go przetransportować wozami i jukami do oddziałów. A kiedy legionista mógł pod Nadworną zjeść kawałek chleba, sporządzonego w Satmar? Oto cyfry: chleb wędrował koleją do Taraczkóz (2 dni), przez jeden dzień został przeładowany z wagonu na wóz (1 dzień), trzy dni trwał transport do Holzschlaghaus na granicy węgiersko-galiicyjskiej (3 dni), tu następowało przeładowanie z wozów na juki (1 dzień), przez dwa dźwigały go juki przez przełęcz pantyrską do Rafajłowej (2 dni) przez dwa dalsze dni wędrował do oddziałów (2 dni). W najlepszym więc razie, gdy wszystko doskonale funkcjonowało, żołnierz nasz 12-go dnia otrzymywał chleb, wypieczony dlań w piekarni. A mimo to spożywał go z apetytem... Ba, ale gdy coś w transporcie się „zatkało“, gdy trzeba było przedewszystkiem dowozić amunicję, gdy deszcze lunęły i transport spowolniał — wtedy żołnierz je i 20 dni mający chleb.

Drugim co do swej ważności artykułem spożywczym jest mięso. Nieliczne w obrębie linii marszu wojsk znajdujące się woły wkrótce zostają

skupione i wtedy przejawia się konieczność sprowadzania z dalszych stron. Do Taraczkóz sprowadzano woły kolejną, stąd pędzono je do oddziałów. Wojska same były bydło; w braku zawodowych rzeźników dokonywali tych czynności rozmaici ludzie; i tak w pewnych batalionach — inżynierowie zajmowali się rzeźnictwem. Jakie ilości mięsa dla Legionów były potrzebne, wynika z dat statystycznych, które podają cyfrę 750 wołów miesięcznie, jako ofiary konsumpcyi mięsnej naszych żołnierzy.

Oczywista prócz powyższych dwóch głównych środków spożywczych chleba i mięsa — musiała intendantura troszczyć się o dostawę wszystkich tych przedmiotów, bez których żołnierz żyć nie może. A więc wino, rum, herbata, cukier, kawa, jarzyny, a więc mydło, tłuszcz do smarowania butów i czyszczenia broni, świece, zapalki, tytoń, a więc drzewo do palenia i budowania baraków, a więc przybory do urządzenia okopów, wedet itd.

Te wszystkie przedmioty trzeba było dowozić do oddziałów. Z chwilą, gdy Legiony oddaliły się od linii kolejowej — a w ciągu swych wielomiesięcznych zmagañ w Karpatach stale przebywają w terenach, oddalonych od sieci linii kolejowej — trzeba było zorganizować treny etapowe. Toteż wiele przewidywania okazała intendantura, kiedy natychmiast z chwilą translokacyi Legionów na Węgry weszła w porozumienie z rozmaitemi władzami politycznemi i już w połowie paździer-

nika zapewniła sobie 600 fur. Kalkulacya przytem była taka: trzeba było dowozić żywność, ekwipunek i amunicyę dla 12 tysięcy ludzi i 2 tysięcy koni. Ciężar dziennej racyi żywnościowej dla człowieka wynosi 1 kg, dla konia 5 kg. A więc dziennie trzeba było transportować 22 tysięcy kg, czyli wysyłać 55 fur obciążonych czterema cetnarami metrycznymi wagi. Turnusowy obrót z Taraczków do Holzschlaghaus u przełęczy pantyrskiej trwał 7 dni, więc trzeba było około 400 fur, zaś dla transportu ubrań, bielizny i amunicyi dalszych 200 fur.

Lecz tych 600 fur to dalsza troska! Bo na tych 600 furach siedzi 600 konsumentów jadła i 1200 koni, potrzebujących owies i siano. A więc znów dalsza podwyżka potrzeb! A dalej! Gdy Legiony przyszły na Węgry, były bardzo skapo uposażone w bieliznę, buty, płaszcze. A tu szła jesień, chłód. Stosy mundurów, koszul, góry butów piętrzyły się w naszych magazynach i trzeba je było wysyłać na linię. Więc wciąż nowe powstają pociągi trenowe. Wreszcie stoi do dyspozycji Legionów 800 fur i przeszło 600 koni jucznych ze specyjalnem zadaniem przenoszenia przez szczyty górskie żywności i towarów tam, gdzie wóz nie przejdzie.

Ta organizacya pociągów trenowych po kilkadziesiąt fur, wiecznie krążących od podstawy linii etapowej do frontu i z powrotem dokonała się

wśród olbrzymich trudności. Legioniści po prostu gospodarki wojskowej nie umieli! Nie było wyszkolonego, rutynowanego personalu. Świetni żołnierze, doskonali oficerowie frontowi — ba ale ani oficerowie czy podoficerowie trenowi, ani prowiantowi. Personal ten trzeba było dopiero uczyć, stworzyć. I jest to właśnie wielką zasługą szefa intendantury Wiszka, że personal taki dobrał i wykształcił. I jeśli dziś mamy tak doskonałych funkcyonaryuszy jak komendant plutonu Dostał, komendant plutonu Torma, chorąży Effenberger itd. — to są oni dzięki niezmordowanym wysiłkom naszego intendanta.

Osobnym punktem w działalności intendantury jest zaopatrywanie żołnierza w odzież. Głównie chodziło o bieliznę i buty. Każdy legionista wyruszył z Krakowa w jednej parze butów. A jak prędko je zdarł! Toteż statystyka intendantury podaje następujące cyfry: już z końcem października z magazynu w Taraczkóz musiano rozdać między legionistów świeżych 9000 par butów, w połowie listopada dalszych 3000 par, z końcem listopada 2000 par i tak do dzisiejszego dnia! A jakie sumy bielizny dotychczas wydano! Jeśli powiemy, że każdy legionista dotychczas „wyfascował“ conajmniej 6 kompletnych garniturów bielizny — to łatwo wyobrazić sobie, ile dziesiątków tysięcy tych garniturów trzeba było sporządzić! Natomiast bardzo małe było stosunkowo zapotrze-

bowanie ubrań, bluz, spodni, płaszczy. A to dlatego, że legioniści mieli nowusienkie i bardzo dobre mundury, a po wtóre — że świetnie się ze swymi mundurami obchodzić umieją. To też dziś, po miesiącach, aż miło spojrzeć na oddział legionowy. Taki schludny, czysty! Zupełnie inaczej jak gdzieindziej...

Specyjalną troską intendantury było zastosowanie potrzeb materyalnych Legionów do zmiany pory roku, do nadejścia zimy. Kilka cyfr działalności tę najlepiej zilustruje: i tak trzeba było postarać się o 40.000 podków, o 160.000 oceli, urządzić 20 kuźni, postarać się o 10.000 koców dla ludzi i przeszło 3000 derek dla ludzi, sprawić sanie, tak iż każdy wóz może być natychmiast zmieniony w sanie, sporządzić ręczne sanki dla transportu żywności i amunicyi w góry, na pozycye kompanijne. A cóż dopiero gdy szło o ochronę żołnierza przed zimnem! Każdy legionista otrzymał ciepłe flanelowe onucki, ciepłe pończochy, kominiarkę, ogrzewacze pulsów, nagolenniki, ochraniacze kolan; każdy został zaopatrzony w futrzaną kamizelkę; każdy oddział otrzymał potrzebną ilość namiotów i piecyków do namiotów!

Temsamem jednak wcale nie jest wyczerpana praca i zapobiegliwość intendantury. Długooby trzeba jeszcze pisać, by każdy szczegół uwydatnić.

A więc trzeba by podnieść, jak to początkowo cała konnica Legionów dysponowała tylko 500 garniturami upręży — a trzeba było zaopatrzyć szwadrony, baterie, kawalerię sztabową, treny, wreszcie oficerów kompanijnych, trzeba było mieć kompletne wyekwipowanie dla przeszło 2000 koni, co się wreszcie po wielkich wysiłkach udało. A więc trzeba by się rozwódzić nad organizacją kolumny amunicyjnej, mającej dowozić amunicję do linii; a więc nad dostarczeniem naszemu oddziałowi telefonicznemu materiałów; a więc nad zaopatrzeniem naszej kompanii narciarskiej w potrzebne przyrządy; a więc nad dostarczeniem naszej służbie sanitarnej potrzebnych środków, materiałów, przyrządów itd.

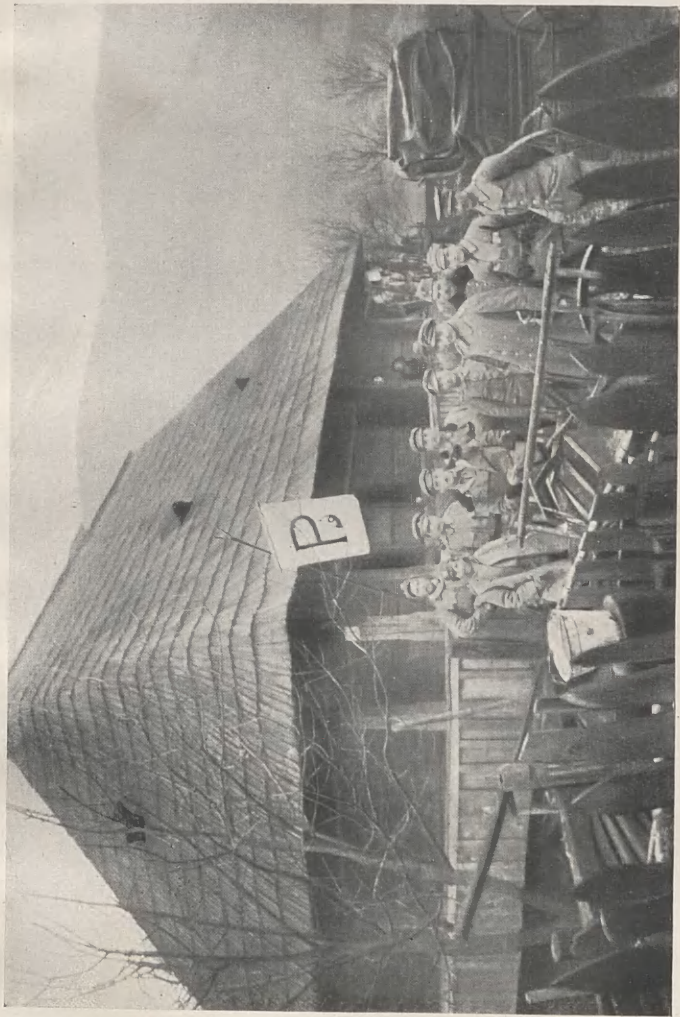
Lecz to zaprowadziłoby nas za daleko i przekroczyłoby ramy tej relacji.

Więc na zakończenie kilka charakterystycznych dat.

Jak wygląda linia etapowa, urządzona przez intendanturę, z jakich ogniw się ta kunsztowna linia, która prowadzi od bazy operacyjnej do frontu bojowego?

Weźmy np. linię etapową Taracköz-Nadwórna, urządzoną przez naszą intendanturę dla użytku Legionów.

Linia ta składała się z następujących ogniw: Taracköz: komenda stacyjna etapowa, magazyn, stacja wyżywienia przechodzących oddziałów, stacja wysyłki chorych, stacja telefoniczna.



„Gmach” poczty polowej Legionów.

Nagy-Szöllös: kadra uzupełniająca, komenda stacyjna etapowa.

Al Neresznica: komenda stacyjna etapowa, stacya telefoniczna.

Dombo: szpital stały, lazaret ruchomy, komenda stacyjna etapowa, stacya wyżywienia.

Kiralymező: komenda intendantury, szpital, komenda chorych-rekonwalescentów, stacya wyżywienia, magazyn filialny, stajnia bydła, stacya telefoniczna.

Brustura: komenda chorych-rekonwalescentów, szpital dla koni.

Holzschlaghaus: komenda stacyjna etapowa, magazyn, stacya wyżywienia, stacya opatrunkowa rannych i chorych, stacya telefoniczna.

U krzyża Legionów na przełęczy pantyrskiej: magazyn filialny, stacya opatrunkowa.

Rafajłowa: komenda stacyjna etapowa, magazyn, szpital, stacya telefoniczna.

Tyle trzeba instytucyi, by żołnierz mógł na froncie istnieć! Albo inne daty. Ile dotychczas w Legionach intendantura musiała urządzać tak zwanych stacyi fasunkowych, w których oddziały mogłyby swe potrzeby zaspokajać? Wykaz miejscowości wskazuje, jaki ogrom pracy w to został włożony. Tembardziej, że taka stacya każdej chwili musi być wraz z translokacją wojsk na inny teren zwinięta, stante pede przeniesiona, czasami o dziesiątki mil. A więc dotychczas w na-

stepujących miejscowościach mieliśmy takie stacye: Nagy-Szöllös, Tarackköz, Dombo, Kiralymező, Holzschlaghaus, Rafajłowa, Nadwórna, Żabie, Ardżeluża, Sinever, Bustyahaza, Vuckomező, Dolha, Rokamező, Huszt, Leordina, Felső-Visso, Borsa!

Wreszcie kilka dat, ile ogółem Legiony dotychczas potrzebowały żywności! Chleba zjadło się przeszło milion porcyi; skonsumowano 3000 wołów; zjedzono 1000 cetnarów metrycznych ryżu, krup i jarzyn; wypito 10 wagonów wina; potrzebowano 1000 hektolitrów rumu; 60.000 kg cukru, 50.000 kg kawy; 10.000 kg herbaty; wypalono 10.000 metrów kubicznych drzewa opałowego; konie nasze zjadły 12.000 cetnarów metrycznych owsa i 10.000 cetnarów siana! Koszta utrzymania naszych wojsk (bez mundurów, butów, wyekwipowania i amunicyi) wynoszą przeszło milion koron miesięcznie!

Dopiero w świetle tych cyfr uwypukla się, w jak olbrzymich rozmiarach prowadzoną być musi gospodarka, aby tym wszystkim potrzebom zadość uczynić w takiej mierze, iżby żołnierz mógł spokojnie, bez trosk spełniać swój zaszczytny obowiązek.

b) Urządzenia sanitarne.

Spotykam naszego szefa sanitarnego przy pracy. „Superrewizya lekarska“. Stoi w izbie kilku legionistów, a jeden z nich po pas obnażony z odzieży.

Dr. Rogalski pochylony wsluchuje się w szmery w płucach chorego legionisty. Badanie trwa długo. Boć tu o życie ludzkie chodzi, o to, czy badanego uznać za zupełnie niezdolnego do zawodu żołnierskiego, czy też poczynić na miejscu kroki zapobiegawcze lecznicze, by go po pewnym czasie znów mieć w ciężkiej a zaszczytnej służbie.

Skończyła się wreszcie superrewizya. Do izby wchodzi lekarz-asystent z meldunkiem szpitala o stanie chorych; następnie konferencya z podoficerem, zarządzającym trenem lazaretu; potem skoncypowanie szeregu zamówień aptecznych itd. W izbie wciąż ruch, gorączkowa wyteżająca praca.

— Konsyliarzu — mówię do naszego szefa sanitarnego — czyż można prosić o udzielenie kilku dat i wiadomości o czynnościach naszego oddziału sanitarnego od chwili wyruszenia w pole? Chciałbym to zużytkować dla książki. Boć zgodzi się kochany nasz szef z tem, iż opinia publiczna bardzo radaby wiedzieć, jak się nasi legionieści leczą, jakie środki ratunkowe stoją im do dyspozycji w razie choroby lub rany — i że poniekąd obowiązkiem zaspokoić tę naturalną ciekawość naszego społeczeństwa.

— Ależ i owszem! Oddział sanitarny nie ma niczego do ukrywania. Chętnie służę datami i faktami.

— A więc. Jak się przedstawia skład personalu oddziału sanitarnego?

— Mam do dyspozycji 22 lekarzy, 13 medyków-rygorozantów, 2 aptekarzy w lazarecie polowym i 154 sanitaryuszy.

— Jaki jest dobór sanitaryuszy?

— Na ogół bardzo dobry. Z pośród 154 sanitaryuszy jest 40 młodszych medyków, reszta zaś składa się z ludzi, przeważnie pochodzących z inteligencji, a specjalnie wyszkolonych w służbie sanitarnej.

— Jak się przedstawia rozdział poszczególnych sił lekarskich i pomocniczych między oddziały?

— Analogicznie do urządzeń, używanych w c. i k. armii. Nasza opieka lekarska obejmuje 2-gi i 3-ci pułk piechoty, naszą artylerję, kawalerję i oddziały karabinów maszynowych. Każdy batalion ma swego lekarza, jest wyposażony w obfitej ilości w materiały opatrunkowy, leki i przybory sanitarne.

— A lazaret polowy?

— W lazarecie pracuje 10 lekarzy i 46 sanitaryuszy. Nasz lazaret jest ruchomy; urządziłem go w ten sposób, iż każdej chwili może działać w dwóch samoistnych, oddzielnych grupach. Lazaret daje się każdej chwili przetransportować z miejsca na miejsce. W tym celu wyposażony jest w 50 wozów, służących do przewożenia chorych i rannych na tyły, do szpitali dalej położonych. Każda z obu grup ruchomego lazaretu jest znów tak urządzona, iż w czasie akcji wojennej dzieli



Opatrywanie rannych pod Nadwórną.

się na dwie części: na stację opatrunkową na linii bojowej, a równocześnie poza linią bojową na ruchomy lazaret, w którym zostają umieszczeni ci ranni i chorzy, którzy chwilowo wskutek stanu zdrowia nie mogą być dalej na tyły odesłani. Kuchnia polowa dla rannych i chorych funkcjonuje natychmiast z chwilą urządzenia w pewnym miejscu jednego z powyższych urządzeń sanitarnych.

— A jak się dokonuje transport rannych i chorych na tyły, do szpitali?

— Otóż to jest specjalną naszą troską i wymaga osobnej pieczy, by ranni i chorzy mogli być jaknajszybciej i jaknajliczniej transportowani, a następnie, by w czasie transportu nie zaznali pogorszenia zdrowia. W tym celu w tych wypadkach, gdy bitwa spowodowała większe ofiary i jest nawał rannych, dostarcza tren etapowy potrzebnej ilości wozów do transportu; dalej na tych terenach, gdzie pole walki jest wielce oddalone od stacji kolejowej, gdzie zatem linia etapowa jest bardzo długa, kilkudziesięciokilometrową — tam urządzam etapowe stacje chorych. Tam to chorzy i ranni chwilowo niezdolni do dalszego transportu, są zatrzymywani, tam się ich posila, wrazie potrzeby wznawia opatrunek, a następnie dopiero dalej transportuje.

— A cóż się dzieje z chorym lub rannym, który wprowadzie już wyzdrowiał, opuścił lazaret

lub szpital, a jednak nie czuje się jeszcze na siłach, by bić się, spełniać służbę w linii? Cóż się z tym dzieje?

— Ci rekonwalescenci przebywają w tak zwanych komendach chorych. Dotychczas mieliśmy w Legionach trzy takie komendy chorych w miejscowościach Brustura, Kiralymező, Bustyahaza. Tu gromadzą się rekonwalescenci, nie potrzebujący już pielęgnacyi szpitalnej, jakoteż ci żołnierze z linii bojowej, którzy z powodu wyczerpania sił fizycznych chwilowo nie są zdolni do służby.

— Czy można teraz prosić, panie konsyliarzu, o kilka dat co do działalności naszej służby sanitarnej w poszczególnych fazach naszej akcji w Karpatach?

— Chętnie służę. A więc już w dzień po wywagonowaniu Legionów w północnych Węgrzech, 6 października, urządza nasz lazaret ruchomy stację opatrunkową w miejscowości Tecső. Tu zaopatrzono 70 żołnierzy c. i k. armii, a z legionistów 11, którzy następnie odesłani zostali do szpitali.

Dnia 16 października zostaje lazaret ruchomy połowy urządzony kompletnie w miejscowości Dombo, na linii etapowej Taraczköz-Kiralymező i tu funkcjonuje do 30 listopada. Lazaret ten gromadził rannych ze wszystkich potyczek i bitew (Pasieczna, Nadwórna, Bitków, Cucyłów, Mołotków), które w drugiej połowie października się rozegrały. Równocześnie wystawił lazaret połowy podczas



Transport rannych na „Drodze Legionów“.

każdej z tych bitew stacyę opatrunkową tuż w pobliżu pola bitwy. W czasie tym opatrzone około 750 rannych i chorych legionistów (w tem 60 ciężko rannych). W ciągu listopada zależnie od sytuacji strategicznej naszych wojsk, urządzaliśmy prowizoryczne szpitaliki w szeregu miejscowości, a mianowicie: Rafajłowa, Zielona, Pasieczna, Nadwórna, Holzschlaghaus, Brustura, Kiralymező. U samej podstawy linii etapowej, w Taraczköz, na linii kolejowej, wiodącej z Maramaros-Sziget na zachód, urządziłem stacyę odprawy chorych koleją żelazną.

W pierwszej połowie grudnia, gdy Legiony walczyły na Huculszczyźnie, powstaje nasz szpital w Żabiem, a podczas bitwy pod Sokołówką i Jasienowem górnym, stacya opatrunkowa w Krzyworówni, w której opatrzone 21 rannych.

Gdy 10 grudnia Legiony zostały wysłane na czwarty teren operacyjny, celem obrony przełęczy ökörmezkiej i bocznych przejść karpackich, podzieliłem nasz lazaret ruchomy na dwie części. Jedna osiadła w miejscowości Also-Koloca, druga w Vuckomező. Obie części lazaretu funkcyonowały tu do 10 stycznia. W Also-Koloca zostało zaopatrzonych 60 rannych legionistów i żołnierzy pospolitego ruszenia, w Vuckomező, gdzie ponadto lazaret ruchomy urządził stacyę opatrunkową w bliżej przed front bojowy o 8 km wysuniętej wsi Zapredjil — zaopatrzono około 80 rannych legionistów.

— A jak się przedstawia, panie konsyliarzu, wogóle stan zdrowotny w Legionach?

— Do połowy grudnia stan zdrowotny był na ogół dobry, z wyjątkiem sporadycznie występujących wypadków tyfusu, biegunki, zapalenia płuc i opłucnej. Tych wypadków było po kilka, co na ogół jest znikomym procentem. Szkarlatyny mieliśmy 8 wypadków, z tych 3 śmiertelne. Od drugiej połowy grudnia natomiast stan zdrowotny nieco się pogorszył. Wskutek niekorzystnych warunków atmosferycznych i złego pomieszczenia na terenie operacyjnym pod Ökörmező zaczęły się pojawiać coraz częstsze wypadki czerwonki i w znacznym stopniu (20 procent) chorób dróg oddechowych. Lecz przeniesienie Legionów na nowy teren operacyjny przerwało na szczęście to szerzenie się chorób. Ogółem mogę z dumą i satysfakcją powiedzieć: nasi chłopcy mimo swego młodzieńczego wieku, siłą swej żelaznej woli pokonują trudy wojenne. Conajmniej w takim stopniu, jak inne formacje bojowe...

c) Oddział telefoniczny.

Nowoczesna sztuka wojowania posługuje się wszystkimi zdobyczami wynalazczości 19-go wieku. Wprzęgła ona również w służbę wojny telefon, uczyniwszy go jednym z wybitnych środków pomocniczych rozkazodawstwa i służby informacyjno-wywiadowczej.

Toteż nie dziwnego, iż organizatorzy pogotowia wojennego polskiego jeszcze za czasów pokojowych zajmowali się intensywnie stworzeniem odpowiedniego personelu, któryby w chwili potrzeby stał na wysokości zadania.

Oto są początki tak zwanego oddziału telefonicznego przy związkach strzeleckich. Zajmuje się on nauką sygnalizacji optycznej i stworzeniem kadry fachowo wyszkolonych jednostek, któreby były obznajmione z budową aparatów telefonów polowych i stałych, umiały je instalować i obsługiwać.

Z chwilą wybuchu wojny i pamiętnego wkroczenia pierwszych oddziałów strzeleckich na teren Królestwa, oddział ten, liczący około 40 telefonistów, z miejsca rozpoczął działanie. Zbudował on linię telefoniczną od Kiele aż pod Kraków, oddając w ten sposób wielkie usługi.

Gdy przystapiono do organizacji Legionów, część oddziału (około 20 telefonistów pod komendą inżyniera Stanisława Żmigrodzkiego) wcielono do 1-go pułku, zaś z drugiej części utworzono przy komendzie Legionów oddział samodzielny pod dowództwem inżyniera Kazimierza Drewnowskiego, profesora lwowskiej szkoły przemysłowej i adjunkta elektrotechniki na politechnice, na którego informacjach opierają się poniższe wywody.

Ze skromnych początków wychodząc, rozszerza nasz oddział telefoniczny stopniowo zakres swej

działalności, obficie korzystając z doświadczeń, nabytych podczas walk, przemarszów, postojów.

Zasadniczą jednostką służby telefonicznej jest patrol, składający się z sześciu ludzi, z których czterej służą do zakładania i utrzymywania linii polowych i stałych, dwaj zaś funkcyonują jako telefoniści. Uposażenie patrolu składa się z jednej kompletnej stacyi telefonicznej polowej, w której skład wchodzi również przybory do sygnalizacyi chorągiewkami i latarniami, dalej z dwóch aparatów telefonów rezerwowych, wreszcie 10 kilometrów drutu oraz przyborów i materiałów do budowy linii stałych. Wszystkie te aparaty i przybory znajdują się na wozie parokonnym, oddanym wyłącznie na usługi patrolu.

Komenda Legionów ma obecnie do swej dyspozycyi oddział telefoniczny, składający się z czterech patroli, podzielonych na dwa plutony po dwa patrole. Prócz tego jest sekcya administracyjna, do której agend należą zakupy, prowadzenie magazynu dla oddziału i niższych jego formacyi.

Przy komendzie każdego z naszych pułków istnieje pluton telefoniczny — a więc dwa patrole. Przy komendzie każdego batalionu i każdej bateryi artyleryi, istnieje jeden patrol.

Zadaniem wszystkich tych patroli jest łączenie komendy Legionów z niższemi komendami aż do linii bojowej, oraz połączenie oddziałów działają-



Transport rannych z Galicyi do Węgier.

cych na froncie z tyłami, linią etapową, siecią telefonów państwowych.

Dzięki takiemu rozdziałowi służby telefonicznej na plutony i patrole, można uzyskać niemal równocześnie połączenie wszystkich komend naszych oddziałów ze sobą, dać im równocześnie rozkazy, otrzymywać każdorazowo meldunki sytuacyjne. W miarę posuwania się wojsk, równocześnie patrole zakładają połączenia telefoniczne, tak, iż najdalej w parę godzin po przybyciu na jakieś ważniejsze stanowisko komenda Legionów ma telefoniczne sprawozdanie z przebiegu jakiejś akcji, może telefonicznie wydać rozkazy i dyspozycje.

Prócz powyższych urządzeń z biegiem czasu i na podstawie nabytych doświadczeń powstały dwa osobne patrole telefoniczne. Patrol konny telefoniczny, który ma prócz pewnych specjalnych zagadnień militarno-wywiadowczej natury za zadanie szybkie podjechanie pod miejsce, na którym połączenie się przerwało celem doraźnej naprawy linii, dalej patrol narciarski telefoniczny, który stosownie do warunków terenowych podczas zimy oddaje ważne usługi.

Pierwszą próbą sprawności naszego oddziału telefonicznego było założenie linii polowej z Holzschlaghaus na granicy Węgier i Galicyi do Rafajłowej poprzez przełęcz pantyrską wśród nadzwyczaj skomplikowanych stosunków terenowych. Równocześnie oddziałowi naszemu przypadło zada-

nie naprawy, utrzymania i zużytkowania dla celów Legionów kilka istniejących prywatnych linii na linii Taracköz—Királymező—Holzschlaghaus oraz Rafajłowa—Nadwórna, które były częściowo zniszczone przez ustępujące wojska rosyjskie. Długość tych linii, urządzonych i obsługiwanych przez naszych telefonistów, wynosiła przeszło 140 km.

Pierwszą próbę ogniową przebyli nasi telefonisci w Pasiecznej. Moskale, zmuszeni przez nas do cofnięcia się, ostrzeliwali dla krycia odwrotu swej piechoty nasze pozycje i wzięli pod silny ogień armatni Pasieczną. W lokalu zarządu towarzystwa „Nafta“ mieścił się nasz aparat telefoniczny. Dokoła padały szrapnele, a w izbie z największym spokojem nasz telefonista przyjmował meldunki i wysyłał rozkazy. Jeden z naszych oficerów sztabowych, siedzący przy aparacie w Bitkowie, łączy się z naszą stacją w Pasiecznej i przyłożywszy do ucha słuchawkę, słyszy najwyraźniej odgłosy strzałów armatnich . . .

Nadzwyczajną przytomność umysłu i odwagę okazał nasz telefonista podczas bitwy pod Nadwórną. Wojska nasze opuszczają miasto i ruszają w kierunku Pasiecznej. Telefonista jednak pozostaje przy swym aparacie. Moskale są już u bram miasta — telefonista niewzruszony melduje, co się wokół dzieje. Wreszcie ostatni meldunek: Moskale w mieście! — niszczy stację telefoniczną, a sam lasami przedziera się do swoich . . .

Na następnym naszym terenie operacyjnym, na Huculszczyźnie, oddział nasz utrzymuje linię polową z Worochty do Żabiego i linię stałą z Żabiego przez Jasieniów górny do Jaworowa i Sokółki. Razem około 70 km.

• Ciężką robotę miał nasz oddział telefoniczny pod Ökörmezö. Tu musiano zakładać linie polowe na poszczególnych posterunkach naszych batalionów piechoty i baterii armat polowych i haubic, ustawicznie zmieniających pozycje, a więc wciąż w linii strzałów armatnich, będąc wystawionym wprost jako cel na ogień nieprzyjacielski.

Wielce niebezpieczna to służba. Pocisk armatni przerwie druty telefoniczne; natychmiast wysuwa się z poza ukrycia patrol telefoniczny i nie bacząc na pękające dokoła szrapnele i świszczące granaty musi przywrócić w szczerem polu połączenie. Lecz ta służba nietylko jest niebezpieczną, lecz również i żmudną, ciężką. Odbywa się ona wciąż w polu, wśród deszczów, błota, na rozmokłym terenie, w górach, wśród zasp śnieżnych. Toteż wymaga silnego, przytomnego, męznego człowieka.

d) Audytoryat.

Równocześnie z powstaniem Legionów i wcieleniem ich w skład siły zbrojnej państwa, utworzony został przy komendzie Legionów audytoryat t. j. Sąd Legionów.

W czasach pokojowych istnieją sądy brygad i dywizyi, wreszcie sąd najwyższy we Wiedniu z tokiem instancyi analogicznym do sądów cywilnych. Podczas wojny przemieniają się te sądy w tak zwane sądy polowe, odznaczające się uproszczeniem przez porzucenie zbędnej formalistyki i toku instancyi (od wyroków sądu polowego nie przysługuje stronom żaden środek prawny). Tok czynności w sądach wojskowych unormowany jest ustawą z roku 1912, odpowiadającą bardziej postępowi cywilizacyi i pojęciu humanitarnemu o prawach i obronie obwinionego, w szczególności zaś wprowadzającą swobodną ocenę siły środków dowodowych przez sędziego.

Sądy polowe przydzielane zostają większym samodzielnyom grupom bojowym i właściwość ich normowaną jest wedle komendanta tej grupy. Ci tylko żołnierze podlegają danemu sądowi, którzy podlegają rozkazom danego komendanta, do którego sąd polowy przydzielono. Takim komendantem jest ekscelecya Durski jako komendant Legionów. Wyroki sądu polowego muszą być zatwierdzane przez właściwego komendanta, któremu przysługuje prawo ułaskawić skazanego, lub odroczyć karę do demobilizacyi. W Legionach przyjętą jest zasada odraczania kar do demobilizacyi tylko za przestępstwa niehańbiące. Skazani zyskują na tem o tyle, że po demobilizacyi mogą być wraze nienaganne sprawowania się przed-

stawieni przed bezpośredniego swego przełożonego komendantowi Legionów do ułaskawienia.

Sąd Legionów składa się podczas rozprawy głównej z przewodniczącego, dalej prowadzącego rozprawę, którym zawsze jest audytor. Ten prowadzi rozprawę, przesłuchuje, ogłasza uchwały i wyroki. Prócz powyższych w skład sądu wchodzi trzech oficerowie, wreszcie oskarżyciel i obrońca. Wszyscy oficerowie, przy rozprawie głównej fungujący, muszą być oficerami liniowymi t. j. nie może zasiadać w sądzie n. p. lekarz wojskowy lub urzędnik intendantury. Po przeprowadzeniu rozprawy następuje tajna narada pięciu sędziów i głosowanie najpierw nad winą, potem nad karą, o ile ustawa z góry nie ustanawia konkretnie oznaczonej kary n. p. w postępowaniu doraźnem karę śmierci. Inny skład i tok sądu jest bezprawny.

Audytorzy są albo stali, którzy przed wojną wstąpili do audytoryatu, lub czasowi, przyjęci tylko na czas wojny. Odnośnie do sądu Legionów to kierownictwo jego spoczywa w rękach stałego audytora majora Dra Zbyszewskiego, zaś na czas wojny w randze porucznika audytora Dra Dańca. Oczywiście ponadto jest odpowiednia ilość protokolantów i areszt polowy pod zarządem profosa. Audytorzy powyżsi przygotowują i przeprowadzają śledztwo i materyał do rozprawy, oraz prowadzą rozprawę i ogłaszają wyroki. Współdziała ze sądem w ściganiu przestępstw żandarmerya polowa

Legionów jako organ wywiadowczy i przygotowujący materiał do śledztwa i rozprawy.

Cały szereg zbrodni, które podczas wojny karane są więzieniem, podlegają na podstawie szczegółowych obwieszczeń podczas wojny karą śmierci. Odnosi się to zwłaszcza do tak zwanego postępowania doraźnego. Przy postępowaniu doraźnem wymaga się, aby sprawca w zasadzie w 48 godzinach, bez przeprowadzenia formalnego śledztwa, mógł być przed sąd postawiony. Ma to miejsce w wypadkach, gdy są wszelkie dane do przypuszczenia, że wina oskarżonego da się bez przewłoki wyjaśnić i ustalić, albo gdy oskarżonego przychwycono na gorącym uczynku. Sąd w tych wypadkach przeprowadza na rozprawie wszystkie dowody i wydaje zaraz wyrok. Odnosi się to do ciężkich zbrodni n. p. dezercya, mord, rozmyślne uszkodzenie się celem uniknięcia służby wojskowej, kradzież ponad 1000 koron, sprzedaż broni lub amunicyi wartości ponad 10 koron, szpiegostwo, tchórzostwo itd. Jeśli w postępowaniu doraźnem sąd wszystkimi głosami orzeknie winę oskarżonego, wtedy nieodzownie musi nastąpić kara śmierci przez rozstrzelanie lub powieszenie. Wyrok śmierci w postępowaniu doraźnem zatwierdzony przez właściwego komendanta wykonywanym jest bezzwłocznie najdalej do 2 godzin.

Postępowanie śledcze audytoryatu Legionów z natury rzeczy przystosować się musi do danych

okoliczności wojennych. Z powodu oddalenia nieraz znacznego oddziałów, częstego ich w różnych kierunkach przesuwania, trudno jest audytorowi ścigać do siedziby sądu świadków i inne środki dowodowe. Niejednokrotnie musi on wyjechać przed front, odszukiwać żołnierzy na placówkach i tam urzędować. Tak przesłuchiwał n. p. audytor nasz razu pewnego świadków, leżąc na górze ponad 700 metrów wysokiej na linii strzałów, mając po jednej stronie leżącego świadka przesłuchiwanego a po drugiej protokolanta, spisującego zeznania na ziemi. Działo się to wśród groźnego działania artylerii obu stron przeciwnych, przy obserwowaniu rakietowych pęknięć szrapneli na najbliższe wzgórza. Często spać przyjdzie takiej komisji w opuszczonej chacie, nieraz w szałasie, o głodzie i chłódzie.

Dotąd nie zdarzył się wypadek kary śmierci w Legionach. Z chlubą wreszcie zaznaczyć trzeba, że w Legionach dotąd nie zapadł wyrok za tchórzostwo. Wogóle statystyka audytoryatu Legionów wykazuje nadzwyczaj niski procent skazanych przestępców. Jestto bardzo znamieny i pocieszający objaw!



XIV.

Pod koniec wielkiego roku.

„20-go grudnia rozpoczną wszystkie pod moja komendą pozostające grupy ogólny atak“.

Tak brzmią pierwsze słowa rozkazu komendy Legionów tuż przed Bożem Narodzeniem. Rozkazu, który dociera wnet do dalekich zakątków karpacczych, przenika dziesięciokilometrowe przestrzenie. Bo tym razem komendy Legionów słuchają prócz legionistów poważne siły wojsk przydzielonych, liczne grupy, ustawione na flankach, silna własna artyleria.

Jedno z głównych przejść na Węgry, przełęcz pod Ökörmezö, jest zagrożona. Więc po raz czwarty muszą Legiony zmienić teren operacyjny, ruszyć na powstrzymanie pochodu wroga. Z Huculszczyzny spieszymy pod Ökörmezö. W największym pędzie, niemal bez tchu.

Za pierwszym naszym atakiem zmienia się sytuacja. Nieprzyjaciel nie może się więcej posunąć naprzód, ba, musi ściągnąć na przełęcz ökörmezka wielkie siły. Gromadzą się tu dwa pułki



Tyralliera!

piechoty rosyjskiej — 309. i 310. — z wielką ilością armat, między którymi jest poważna ilość haubic. Morderczy ogień 20 naszych armat, szeregu naszych karabinów magazynowych, piechoty naszej trwa bez przerwy przez trzy dni. Nieprzyjaciół ściąga posiłki, przesuwają na lewe skrzydło — na którym spoczywa punkt ciężkości walk — trzeci swój pułk piechoty, 312-ty. Mimoto jeszcze przez dwa dalsze dni trwa nasz atak. Wreszcie, nie ze względu na naszą własną postawę, lecz z powodu ogólnej sytuacji strategicznej przestajemy ataku i przechodzimy do obrony zajętego terenu.

Nie mamy więcej zadania następować wrogowi na pięty. Ino nie dać mu pójść naprzód. — I to zadanie spełniamy. Wali armatami wróg, próbuje wbić się klinem i obejść, rozerwać nasze grupy. Nie sposób. Nasze oddziały stoją niewzruszenie.

Przez kilka tygodni. Dzień staje się do drugiego podobny. Niemal monotony. — Z góry możesz powiedzieć, jaki „program“ będzie jutro. Kanonada, wściekła kanonada — kilkanaście armat z tamtej strony, kilkanaście z tej — rozpaczliwy wysiłek wroga, by przecież wejść do Ökörmezö. Napróżno Więc ima się wróg forteli, kruczków. Nic nie pomaga. Na fortele — fortele. Dzielny komendant bataljonu Januszaitis, dowodzący lewym skrzydłem, trzy razy spędza wroga z góry Kliwy, będącej ważnym węzłem sytuacyjnym, przyczem bierze niezwykłą moc jeńca. Poważny

a wytrawny kapitan Zaleski z prawego skrzydła, sam mając dość małe siły, wciąż szachuje kolumny nieprzyjacielskie. A junacki chorąży Romaniszyn ze swym drobnym oddziałkiem wywiadowczym, okrażając obóz nieprzyjacielski, skrada się na tyły, spada znienacka na treny i wywołuje panikę wśród wojsk rosyjskich.

A wszystko to się dzieje wśród strasznych, okropnych stosunków atmosferycznych. Rozmokła ziemia pokryła się grubemi warstwami grzęskiego błota. Wieczne deszcze, wieczna szaruga. Mgły, zadymki, ulewy wcale nie grudniowe... Jary w górach wzbierają, ścieżyny zamieniają się w rwące potoki, z poszycia drzew ścieka wilgoć. — A żołnierz nasz wciąż w szczerem polu. Tygodniami... Gdyż — acz nie mamy zadania ofenzywnego — to jednak wciąż musimy stać gotowi do walki, wciąż być na pozycjach, w okopach.

Tak mija Boże Narodzenie, tak Nowy Rok.

I znowu trzeba pójść dalej. Na piąty już teren, w Alpy rodniańskie. To, co pod Ökörmezö uzyskały Legiony: wstrzymanie pochodu nieprzyjacielskiego, przerwanie ofenzywy wroga, nieprzepuszczenie go poza przełęcz — to teraz z łatwością spełnią inne oddziały wojsk.

Przenosimy się znów. Jeszcze dalej na wschód. Znowu na zagrożony punkt. To nasz los. Stawać u wyłomu...



Zasadzka.

Nie mogę zamknąć mego notatnika i rozpocząć z Nowym Rokiem drugiego, nie uwzględniwszy kilku świetlanych momentów, jak nam przeżyć danem było u schyłku wielkiego roku.

Przyjechał do nas w jednym z ostatnich dni grudnia młody dziedzic korony państwa, które nam dało możność rozwoju narodowego, a w którego obronie my dziś broń w pięści dzierzymy. Przyjechał następca tronu i był przez dzień gościem Legionów. Trzymał w swej dłoni dłoń naszą, jadł z nami z jednej misy, siedł z nami tam, gdzie się ważą losy zajmowanego terenu, mówił z nami o tem, co nas w tej chwili łączy, przypatrywał się, jak nasza piechota, nasza konnica, nasza artylerya wygląda, jak broni się, jak walczy.

Zyskał serca. Osobiście. Gdy na odchodnem chłopcy krzyknęli: „Niech żyje!“ — to nie była zdawkowa moneta, nie okrzyk konwenansowy, lecz głos, z wewnątrz idący. Podobał się nam ten młody człowiek, ten rozmiłowany w żołnierskim zawodzie pułkownik, co to tak serdecznie i szczerze interesował się choćby i najprostszym żołnierzem, napotykanym po drodze.

Lecz czuliśmy: w tem przybyciu następcy tronu do nas, w tej rewii naszych oddziałów w Zapredjilu, tych odwiedzinach pozycyi artyleryckich z widokiem na Ökörmezö, tym skromnym

objedzie żołnierskim w kwaterze naszego sztabu w leśniczówce w Vuckomezö — tkwi więcej niż wizytaeya militarna. Już choćby ze względu na doniosłą enuncyacyę, jaka padła. Na te słowa: „Przybywam z poleceniem cesarza, by wyrazić komendzie i Legionom najwyższe uznanie i zadowolenie monarchy za tak dzielną i wyborną służbę, jaką w polu spełniają polskie Legiony“.

Przypomnijmy sobie: pierwsze rzuty Legionów z chwilą wybuchu wojny! Garść młodzieży, ruszająca w pole w świętym zapale, lecz niedostatecznie uzbrojona, niedostatecznie wyekwipowana, pozbawiona tych urządzeń, które dopiero w wieku 20. tworzą pełnego żołnierza.

A dziś? Po kilku zaledwie miesiącach. Dziś stoi w polu bojownik o wypróbowanej sile, umiejący obchodzić się z przeróżnymi gatunkami broni, żołnierz, który zawód swój poznał do cna. Ba, co więcej, żołnierz, który zdołał się w tym krótkim czasie wyspecyalizować. Mamy własnych artylerzystów, jakichby się powstydzic nie potrzebowały stare armie, mamy specjalistów — kartografów, specjalistów — wywiadowców, specjalistów — patrolowych. Ostatnio wzbogaciliśmy się o specjalistów do obsługi karabinów maszynowych.

Jakiż wzruszający moment przeżyliśmy w ostatnich dniach grudnia!



Następca tronu, arc. Karol Franciszek Józef wśród oficerów Komendy Legionów.

Mała łączka nadbrzeżna koło Vuckomezö. Rzeka Nagy Ag, wezbrana roztopami w górach, huczy i szumi.

Na łące ustawia się oddział karabinów maszynowych. Dwadzieścia sześć koni, objuczonych częściami składowymi karabinów, amunicją i przyborami. A obok każdego juka legionista, a na przodzie oficer Legionów, komendant oddziału.

W mig konie rozjuczone, w mig dwa karabiny maszynowe ustawione na pozycjach. Z zręcznością i pewnością siebie, wprost zadziwiającą, obsługują nasi chłopcy tę skomplikowaną, subtelną, a tak straszną broń.

Ty chłopaczku, którybyś przez tych ostatnich kilka miesięcy ślęczał nad wojnami . . . punickimi, i ty drugi, którybyś stylizował na temat jakiejś błahostki literackiej — jakżeż zmężnieliście w tych zmaganiach z wrogiem, jaka siła z was bije, gdy w tę zimną stal, w te kółka i sprychy karabinu maszynowego wsadzacie taśmę z tysiącem automatycznie strzelających naboí . . .

To już nie dubeltówka myśliwska, nie na sztorc nasadzona kosa, lecz opanowanie strasznej siły oreża, usilnienie ręki polskiej tąsamą bronią, którą posługują się te społeczeństwa, w których żyw popęd ku usamodzielnieniu.

Kształtowanie przyszłości!

Danem nam było w jednym z ostatnich dni roku widzieć tych, którzy o przyszłości i w przyszłości decydować będą.

Lustracya szkoły podchorążych, która z kraju przyjechała, by się oddać do dyspozycyi komendy.

Szkoła oficerów polskich. Nareszcie! nareszcie . . . Szkoła ludzi, mających teraz za naród się bić, a potem wyobrażać w narodzie — siłę.

Mieliśmy w 19. stuleciu szkół moc. Ale ileż mieliśmy szkół, któreby wprost celowo uczyły młodzieńca: tak a tak broni się ojczyzny, granic kraju? Mieliśmy szkoły humanistyczne i realistyczne, uczelnie literatury i kultury ogólnej, sztuki i artyzmów wszelakich.

Przy Kosuth Lajos-utcza w Maramaros-Sziget, w okazałym gmachu „preparandy“ — seminaryum — odbył się w jednym z ostatnich dni roku popis „szkoły podchorążych“. Złe mówię: popis. Było to przejęcie na etat bojowy tych z pośród kandydatów, którzy już do pola dojrżeli.

Stańło 80 młodzieńców. Rosłe, piękne, try-skające zdrowiem postaci. Czegoż też w krótkim, zaledwo kilkutygodniowym okresie czasu swych podchorążych nie nauczył stary kapitan Albinowski wraz ze swym doskonale dobranem gronem nauczycielskiem! Teorya i praktyka, rozkaz-dawstwo, musztra, szermierka, kartograficzne studia, orientacya w terenie, praca w kancelaryi wojsko-



Dekorowani za waleczność.

wej itd. — wszystko ci młodzieńcy w lot pojęli! Widoki natychmiastowego zużytkowania nabytych w szkole wiadomości uskrzydliły ich pojętność, szlachetna emulacya pobudziła do wyteżającej pracy . . .

Dziś najlepsi z pośród nich już w polu, już dowodzą, już przebyli chrzest ognia, już weszli w atmosferę, pachnącą krwią, już ziszczają się ich sny o szpadzie . . .

O czem generacye marzyły, co opiewał geniusz najwyższych duchów w narodzie, od Adama Mickiewicza po Stefana Żeromskiego — to dla tych kilku dziesięciu młodzieńców wcieliło się w rzeczywistość w wielkim roku wojny „omnium contra omnes“.

Nadejście Nowego Roku wydzwoniły Legionom strzały armatnie.

Poszedł w mroki historyi rok 1914 wśród huku armat, trzasku karabinów maszynowych, salw manlicherowskich, wśród rozgwaru wojny, gdy najlepsi w narodzie, przyszłość narodu: młodzież, stała na wedetach, czaiła się z bronią w ręku w okopach, kłusowała na bystrych rumakach po patrolach, maczała ostrze stali bagnetu w piersiach wroga.

Szczęśliw naród, który ma taką młodzież. Bo on temsamem — już zwyciężył. Naród, który był

zdolen z siebie wydać Legiony, nie obawia się. Ani upustu krwi, ani zatoru w rozwoju kultury umysłowej, jaki wszędy spowodowała wojna, ani nadwreżenia czy nawet zniszczenia tyłu dóbr materialnych, wywołanego zawieruchą dziejową.

A niema zmierzchu dla narodu, który dysponuje tymi dwoma elementami: siłą i czynem.

Legiony są czynem i wykazały siłę.





Szkola podchorążych.

zdolen z siebie wydać Legiony, nie obawia się. Ani upustu krwi, ani zatoru w rozwoju kultury umysłowej, jaki wszędy spowodowała wojna, ani nadwerężenia czy nawet zniezczenia tyłu dóbr materyalnych, wywołanego zawieruchą dziejową.

A niema zmierzchu dla narodu, który dysponuje tymi dwoma elementami: siłą i czynem.

Legiony są czynem i wykazały siłę.





Szkola podchorążych.

SPIS RYCIN.

	Strona
Komendant Legionów ekscelencya Durski	8
Szef sztabu Legionów kapitan Zagórski	10
Grupa oficerów	14
Sztandar, ofiarowany Legionom przez młodzież węgierską	18
Na „Drodze Legionów“	24
50-cio metrowy most w jednym z najdzikszych miejsc	
„Drogi Legionów“	28
Krzyż, wzniesiony rękami legionistów na szczycie	
Panturu	30
Na granicy Węgier i Galicyi	32
Transport wojsk kolejką górską z Rafałowej do Zielonej	36
Wypatrywanie przebiegu bitwy	38
Msza polowa	40
Legioniści w przebraniu chłopskiem wracający z nie-	
woli rosyjskiej, spotykają oddział wojsk posp.	
rusz., który dzieli się z nimi objadem	44
Okopy	46
Biwak	48
Oddział piechoty legionowej	52
Translokacya!	56
Komendant Legionów, szef sztabu i oficerowie ordy-	
nansowi	60
Grupa oficerów	64
Grupa oficerów batalionu 2/III komendanta batalionu	
Fabrycego	68
Przeprawa szwadronu kawaleryi przez rzekę Nagy Ag	70
Oddział karabinów maszynowych, gotowy do marszu	82

	Strona
Karabin maszynowy na pozycyi	84
Nasza artylerya	88
Nasi artylerzyści	90
Kolumna	92
Szef intendantury Legionów Wiszek	94
Juki, przewożące żywność dla Legionów przez przełęcz pantyrską	98
„Gmach“ poczty polowej Legionów	104
Opatrywanie rannych pod Nadworną	108
Transport rannych na „Drodze Legionów“	110
Transport rannych z Galicyi do Węgier	114
Tyraliera!	122
Zasadzka	124
Następca tronu, arc. Karol Franciszek Józef wśród oficerów komendy Legionów	126
Dekorowani za waleczność	128
Szkoła podchorążych	130

SPIS ROZDZIAŁÓW.

	Strona
Wstęp	5
I. Maramaros	7
II. Węgry podczas pierwszej inwazyi kozackiej	16
III. Pantyr	24
IV. „Drogą Legionów“ w głąb Galicyi	30
V. Nadwórna	37
VI. Epizody	43
VII. Na Huculszczyznę	49
VIII. Czwarty teren operacyjny	57
IX. Powstawanie nowych wartości	65
X. Wieczór wigilijny	72
XI. Trzy miesiące wojny górskiej	82
XII. Próby syntezy	88
XIII. Gospodarka i instytucye	94
XIV. Pod koniec wielkiego roku	122



